AS



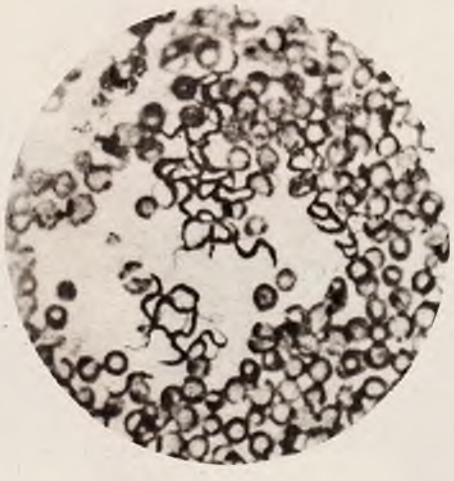
Z miną królowej piękna kobieta oczekuje hołdów. Słynna artystka filmowa

Nr. 39.
24 LISTOPADA 1935

CIEKAWE DROBIAZGI

TSE-TSE przeciw D. BRUCE

Minęło 40 lat od chwili, kiedy Dawid Bruce po raz pierwszy zobaczył w swym mikroskopie trypanosomy, powodujące „naganę“ w pewnych okolicach Natalu i śpiączkę nad jeziorem Nianza.



Trypanosomy (na zdjęciu jako czarne, kręte niteczki) powodują śpiączkę afrykańską.

Dziwne były koleje życia tego awanturnika-uczonego, który bez najmniejszego wahania narażał się tysiące razy i pracował w nadwyraz ciężkich warunkach dla dobra ludzkości. Dawid Bruce po ukończeniu studjów na uniwersytecie w Edynburgu wstąpił do korpusu sanitarnego armji brytyjskiej. Wynagrodzenie jego wynosiło 200 funtów rocznie. Zrobił to, ponieważ chciał się ożenić!

Wkrótce Bruce został przeniesiony na Maltę, gdzie zetknął się z chorobą zwaną „gorączką maltańską“. Tu nastąpiły pierwsze próby lekarza w celu rozpoznania zarazków tej choroby.

W jakiś czas później przeniesiony zostaje Bruce do Egiptu, a potem spowrotem do Anglji.

Afryka, tajemniczy, czarny ląd kryjący tyle tajemnic, wywierał na Bruce‘a bardzo silne wrażenie. Chciał on poznać go jak najrychlej. W r. 1894 udaje się nareszcie uczonemu zdobyć możność wyjazdu do Natalu. Tam, w Ubombo, w kraju Zulusów dowiaduje się o ciekawej chorobie zwanej „naganą“. Choroba ta wyniszczała olbrzymie tereny Natalu, zabijając bydło i konie. „Nagana“ grasowała na olbrzymich przestrzeniach nizinnych, zarosłych szarozielonemi mimozami.

W pracowni swej wzniesionej na wzgórzu o parę tysięcy stóp ponad złowrogiemi nizinami zobaczył Bruce po raz pierwszy w swym mikroskopie — trypanosony, zarazki „nagany“. Znalazł je we krwi śmiertelnie chorego konia. Po wielu, wielu doświadczeniach i próbach doszedł Bruce do przekonania, że „naganę“ przenoszą na swych żądłach krwiożercze muchy — zwane tse-tse. Chorobę tą, a raczej jej zarazki przenosiły jadowite owady do krwi krów i koni z krwi dzikich zwierząt, których pełna była nizina w Ubombo.

Po wojnie boerskiej wyjechał Bruce wraz ze swą żoną, która asystowała dzielnie podczas wszystkich niebezpiecznych doświadczeń, swego męża, do Ugandy nad jezioro Nianza. Sygnalizowano tam t. zw. śpiączkę, niesamowitą chorobę, która na przestrzeni kilku lat zabiła w Ugandzie setki tysięcy tubylców i Europejczyków.

W krwi i cieczy ze stosu pacierzowego chorych na śpiączkę Murzynów, odnalazł Bruce znane już sobie z laboratorjum na wzgórzu Ubombo mikroby. Były to trypanosomy.

Śpiączka objawiała się nieregularnemi atakami gorączki, po której przychodziła niezwykła ociężałość. Następne stadjum choroby powodowało senność tak gwałtowną, że Murzyni zasypiali podczas jedzenia lub stojąc. Przychodził sen, z którego nie było przebudzenia.

Bruce, po stwierdzeniu jakie okolice nawiedzone są przez chorobę i po zidentyfikowaniu muchy kiwu z muchą tse-tse — nakazał wraz z kolorowym zarządcą terytorjum Ugandy opuścić Murzynom miejsca zagrożone chorobą. Były to okolice wodospadów Riponu i jeziora Nianza. Zaraza minęła.

Upłynęło parę spokojnych lat, gdy do Londynu — dokąd udał się Bruce nadeszła hiobowa wieść, że nagle wśród plemienia Kawirondo pokazała się śpiączka. Bruce, którego Anglja przywitała z zachwytem, udekorowała i utytułowała — był już człowiekiem w podeszłym wieku. Na wieść jednak, że jego zwycięstwo w Afryce było tylko połowiczne, zabrał swe instrumenty i wyjechał do zagrożonych terenów.

Rozpoczęły się ponowne doświadczenia. Po wielu wysiłkach Bruce znalazł w krwi krowy z Kome mikroby śpiączki, a następnie te same tryponosomy w krwi antylopy. Wówczas Bruce oświadczył:

— Należy oczyścić wybrzeże jeziora nietylko z ludzi, ale i z antylop.

Od tego czasu śpiączka zniknęła z wybrzeży Nianzy.

Ostatnią wyprawę do Afryki zrobił Bruce w r. 1911, mając lat 60. Podczas podróży tej spotkał on w portugalskiej Afryce — niemieckiego badacza bakterji, Taute‘a. Tenże Taute dla udowodnienia Bruce‘owi, że trypanosomy zdobyte z krwi śmiertelnie chorego na „naganę“ zwierzęcia nie przynoszą człowiekowi śpiączki, wstrzyknął sobie pod skórę miljony tych bakteryj. Po upływie paru dni, kiedy wiadomem już było, że doświadczenie nie udało się, Bruce powiedział:

— Z naukowego punktu widzenia należy żałować, że doświadczenie nie udało się. Wprawdzie żal byłoby nam dzielnego kolegi, ale zato zagadnienie naukowe byłoby rozwiązane.

Terenem ostatnich walk Bruce‘a z chorobą śpiączki była Nyassa, skąd powrócił on do kraju w r. 1914.

ILE KRĘGOW JEST W SZYJI ZYRAFY?

Z pośród wszystkich żyjących stworzeń — żyrafa ma najdłuższą szyję. Dzięki tej osobliwości mogłoby się wydawać, że zwierzę musi posiadać o wiele więcej kręgów, niż — dajmy na to — żubr lub mały szczur. A jednak tak nie jest! Szyja żyrafy osłania tyle samo kręgów, co szyja każdego innego zwierzęcia ssącego. Kręgów tych jest zawsze siedem.

GDYBY...

Noworodek przeciętnie ma 15 cm długości. W pierwszym roku swego życia niemowlę rośnie o 5 cm, czyli że wzrost jego wynosi już 20 cm. Gdyby człowiek z roku na rok rósł w tym stopniu — w wieku lat 60 wysokość jego wynosiłaby 12 metrów!...

OWADY SĄ SILNE

Wydaje nam się, że w stosunku do naszej siły — maleńkie i niepozorne owady są bardzo słabe. Zapominamy jednak, że stosunek wielkości człowieka i danego owadu powinien tutaj także wchodzić w rachubę.

Wiemy naprzykład, że pchła potrafi skoczyć 12 cali wzwyż. Gdyby człowiek chciał skoczyć proporcjonalnie do swego wzrostu — musiałby osiągnąć wysokość 300 stóp. (przeszło 100 m). Okazuje się więc, że w porównaniu do tego wyczynu sportowego pchły — wszystkie rekordy olimpijskich skoczków są poprostu zerem!

Idźmy jednak dalej. Pszczoła potrafi unieść 23-krotny ciężar własnej wagi! Człowiek musiałby, chcąc dorównać pszczole, unieść 1840 kg i spacerować z nim wiele kilometrów.

Owady potrafią jednak zaimponować o wiele lepszemi wyczynami. Silny chrząszcz może unieść na grzbiecie 5 i pół funta balastu. Człowiek w tym stosunku musiałby unieść, a przynajmniej pociągnąć 100-tonowy pociąg.

Jak widzimy z tych zestawień owady wcale nie są słabe. Przeciwnie, wielu sportowców i siłaczy może im pozazdrościć siły.

PODRÓŻ KU GWIAZDOM...



Albert Stevens (po lewej) i Orvil Anderson osiągnęli w swoim balonie stratosferycznym jak o tem doniosła prasa — zawrotną wysokość ponad 22.000 metrów. Balon stratosferyczny „Explorer II.“ po 8-godzinnym locie osiagnąwszy rekord wysokości — wylądował szczęśliwie w Nebrasce w Stanach Zjednoczonych. Stevens i Anderson przez cały czas swego lotu porozumiewali się zapomocą radja z ziemią. Zdjęcie przedstawia lotników w ich metalowej gondoli stratosferycznej. Gondola ta wyposażona była we wszystkie najnowocześniejsze aparaty do pomiarów, a także aparaty fotograficzne i filmowe, dzięki czemu świat naukowy, a także szeroki ogół publiczności zostanie dokładnie poinformowany o wyglądzie pejzażu stratosferycznego.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ

KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.

KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66.

KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 39 **Niedziela 24 listopada 1935** **Rok I**

ASY NUMERU 39-GO:



Nie bez słuszności wyrażano się o intensywnem tempie dzisiejszego życia, mówiąc że każdy rok przeżyty w naszych czasach starczy za lat kilka wieku XIX lub XVIII. To tempo właśnie powoduje, że zdarzenia sprzed lat kilkunastu zdają się nam „zamierzchłą" przeszłością. Odczuwamy to nader silnie, gdy chodzi o dziedzinę techniki. Oto urządzono w bieżącym miesiącu w Londynie wyścig „weteranów" samochodowych, pochodzących z początku XX w., na trasie od Westminsteru do Brighton, t. j. 35 km. Śmieszne w swej nieporadności wehikuły robią na nas takie wrażenie nieomal, jakie odczuwamy na widok rzymskiej kwadrygi lub karety na pasach!

NA SYBIR



„Pochód na Sybir". — Drzeworyt St. O. Chrostowskiego.

Sybir stał się tragicznym symbolem martyrologji narodu polskiego. Kibitki, pędzące w zamieci śnieżnej w nieznaną dal, długie węże zesłańców, katusze i katorgi — były krwawym protestem przeciw dziejowej niesprawiedliwości, przeciw krwiożerczym satrapom carskim, były modlitwą męczenników, by weszła nad ziemią polską jutrzenka swobody.

Malarskie wizje Sybiru, a przedewszystkiem poetycka twórcy trzeciej części „Dziadów", wstrząsały niewolnemi pokoleniami, wciąż czuwać i walczyć kazały nieśmiertelnemu duchowi narodu. Były to patetyczne, pełne grozy i tragizmu wizje Sybiru, które łzy z oczu wyciskały, a i dziś jeszcze budzą bolesne wspomnienia.

Przypominają pierwszych polskich zesłańców na Sybir po upadku konfederacji Barskiej, nieprzeliczone zastępy po zgnieceniu powstania listopadowego i styczniowego. Tajgi i katorgi sybirskie zapełniły się polskimi bojownikami o wolność.

W marcu 1887 r. aresztowano w Wilnie młodziutkiego, 19-letniego Józefa Piłsudskiego i wywieziono do Petersburga. Aresztowano go pod zarzutem należenia do spiskowców, którzy wraz z młodzieżą rosyjską przygotowywali zamach bombowy na cara Aleksandra III. Śledztwo w Petersburgu wykazało, że Józef Piłsudski nic o zamachu nie wiedział, że nawet przeciwny był udziałowi młodzieży polskiej w spisku młodzieży rosyjskiej, przekonany, że ci bynajmniej nie myślą o sprawie polskiej. Śledztwo wykazało niewinność Józefa Piłsudskiego, ale władze administracyjne dla wszelkiej pewności skazały go na 5 lat zesłania do wschodniej Syberji.

Wraz z towarzyszami wywieziono go z twierdzy św. Piotra i Pawła do rosyjskich obozów koncentracyjnych.

Patrz z zachodu,
Tam od Gedymina grodu
Śród gęstych kłębów zamieci
Kilkadziesiąt wozów leci!
Wszystkie lecą ku północy.
Lecą ile w koniach mocy.
Widzisz? Jeden tam na przedzie
W czarnym stroju...
On!



Powyżej na lewo: Zdzisław Czermański „Józef Piłsudski w Tunce".

Poniżej na lewo: Zdzisław Czermański „Zesłańcy".

Przypominają się słowa poematu Mickiewicza, gdy rozważamy drogę na Sybir Józefa Piłsudskiego.

Od Uralu już trzeba było iść piechotą przez bezkresne stepy po 25 kilometrów dziennie. Odpoczynek na barłogach etapów, w zgniłych, zawszonych barakach. Wciąż znęcanie się żandarmów. W Irkucku dłuższy postój, bo dalsza droga prowadzi przez rzekę Lenę, a ta zamarznąć dobrze musi. W więzieniu irkuckiem wybucha bunt zesłańców przeciw prześladowaniom. U-



St. O. Chrostowski „Kibitka".





St. O. Chrostowski „Kozacy".

śmierzyły go bagnety karabinów żołnierskich. Ciosy kolbą karabinu otrzymał Piłsudski. Przejścia w więzieniu irkuckiem głęboko wryły się w pamięć młodego zesłańca.

Później powędrował do Kireńska o 1000 wiorst na północ, gdzie w przeddzień Wilji, 1887 roku, zamknięty został za bunt w Irkucku w nieopalanych więziennych barakach przy 40-stopniowym mrozie. Wycieńczony organizm Piłsudskiego podatny był na poważne choroby. Przeniesiono więc młodego zesłańca do Tunki w kraju Burjatów, gdzie klimat łagodniejszy. Tu z bólu i rezygnacji, z melancholijnych rozmyślań, że — jak pisał jeszcze z Petersburga w wierszowanym liście do ojca — „w dalekiej stronie, gdzieś na krańcu świata, z zatrutem sercem, zakuty w kajdany, na dzikiej wyspie i pod ręką kata, żywot swój pędzić będę opłakany..." — rodzi się coraz silniejsza, bardziej gorętsza decyzja czynnej walki o niepodległość Polski.

Po pięciu latach Józef Piłsudski powrócił z Sybiru. Po dwudziestu kilku latach wywalczył Ojczyźnie wolność.

I może właśnie dlatego lata sybirskie Józefa Piłsudskiego nie mają dla nas atmosfery patosu i grozy. Płynie od nich ku nam dziwny sentyment, rzewność uczucia. Sam Piłsudski wspomina w swych pismach o tych czasach z sentymentem, a nawet z pogodnym humorem.

Niedawno szlakiem zesłania Piłsudskiego pojechał kpt. M. B. Lepecki, by wspomnienia Józefa Piłsudskiego uzupełnić dokumentami władz rosyjskich, fotografjami miejsc historji polskiej, stworzyć dzieło „Józef Piłsudski na Syberji", zamykające ostatni rapsod sybirskiej martyrologji naszego narodu.

Książka Lepeckiego ukazała się właśnie jako wytworny album w układzie graficznym i z ilustracjami w drzeworycie Stanisława O. Chrostowskiego i z dwunastoma planszami barwnemi Zdzisława Czermańskiego.

Plansze Czermańskiego stanowią samoistne dzieło sztuki, które jest uzupełnieniem lektury książki. Z niezwykłą intuicją wielkiego artysty dał Czermański poetycką wizję Sybiru i pochodu zesłańców. Bezbarwny śnieg, brudne, — czasem zielonkawe powietrze, bezbrzeżna nuda i jednostajność przestrzeni, pustka dróg z samotnemi zagubionemi w bezkresie postaciami ludzkiemi, szare, brunatne ściany drewnianych domów, baraków i płotów, zielone i granatowe kopułki cerkiewek, rowy uliczne i poplątane druty telegrafu, smętne konary drzew, saneczki zaprzężone w reny na tajgach — oto melancholijny krajobraz, pełen łagodnego, szarego smutku, dla którego jednak mamy głęboki sentyment. Na tle tego krajobrazu zaledwie kilka razy szkicuje Czermański pochód zesłańców i ich odpoczynek, a jedynie trzy razy — jakże to piękny i głęboki artystyczny „chwyt" — ukazuje nam 19-letniego Piłsudskiego, a każde jego zjawienie się ma wielce wymowny symboliczny wyraz.



St. O. Chrostowski „Bunt w więzieniu irkuckiem".

Zdzisław Czermański „Ulica w Irkucku".
Poniżej: Zdzisław Czermański „Ulica w Tunce".





Drzeworyty Ostoi - Chrostowskiego, fanatycznego miłośnika książek, są najściślej związane z kompozycją graficzną całej strony, z najgłębszą treścią, ukrytą nawet w poszczególnych słowach. Stanowią nierozdzielną całość z dziełem pisanem. Zarówno drzeworyty większe, jak i ozdobniki graficzne techniką oryginalną, wykonane (czarne kreski na białem tle, a nie białe na czarnem, jak to rył Skoczylas i jego szkoła), posiadają nietylko swą silną, estetyczną i artystyczną wymowę. Sybir Chrostowskiego jest pełen smutku, siły i buntu.

(s. w. bal.)

1000 X WOLNIEJ niż światło!..

Szybciej, jeszcze szybciej! Oto hasło naszego stulecia. Hasło, które doprowadziło do kompletnej nieomal mechanizacji dzisiejszego życia. Hasło, które wywołało gorączkę pośpiechu, trawiącą cały cywilizowany świat.

Szybkości dziś osiągane, są w porównaniu do minionych wieków, ogromne. Gdyby Marja Ludwika, która zużyła 15 dni i nocy na podróż dyliżansem z Wiednia do Paryża, aby móc paść w objęcia Napoleonowi — mogła posłużyć się samolotem — byłaby spewnością mniej zmęczona. Ale zapewne i mniej rozrzewniona romantycznem spotkaniem, czekającem na nią „za siedmiu górami i siedmiu rzekami".

W tych dawnych czasach świat był ogromnym globem, o nieprzemierzonych obszarach, które fascynowały ówczesnych ludzi swym dalekiem, nieznanem obliczem.

Czasy zmieniły się. Przyszła kolej parowa. Niezdarne samowarki, sapiące mozolnie, ciągnęły przerobione na wagony — pocztowe dyliżansy. Podróż takim samowarkiem nie należała bynajmniej do przyjemności i pomimo, że trwała o wiele krócej, niż podróż końmi, była bardzo uciążliwa. Poczty konne, któremi przewożono pasażerów, kursowały z szybkością 20 do 30 klm. na godzinę. Kolej szybkość tę powiększyła. Powoli śmieszne wagoniki na szynach zmieniły swe kształty, przeobrażając się w stalowe pullmany. Koleje przecinały coraz większe przestrzenie z coraz większą szybkością. Pomimo jednak wszystko, komunikacja ta nie zmieniła, nie zrewolucjonizowała przebiegu podróży.

Dopiero powojenny okres twórczego rozwoju kulturalnego i materjalnego (przedewszystkiem), dostarczył cywilizacji XX wieku prawdziwych rekordów w dziedzinie zdobywania przestrzeni. Okres ten dał ludzkości samolot, zdolny do transportu pasażerów i towarów, samolot, który przebył już ogromną ilość prób przed wojną i ryzykownych doświadczeń podczas wojny światowej. Piętnastoletni okres powojenny przynosi bardzo dużo zmian w dziedzinie pasażerskich i pocztowych lotów. Od r. 1919 do 1932 szybkość przeciętna dla samolotu transportowego rośnie z 125 na 189 km/g. Równocześnie powiększa się bezpieczeństwo lotu. Szybkość jednak 125 km/g nie była nawet we wczesnym okresie powojennym niczem nadzwyczajnem. Samochody wyścigowe osiągnęły w tym czasie wyższe chyżości, a i kolej wkrótce zbliżyła się do tych cyfr.

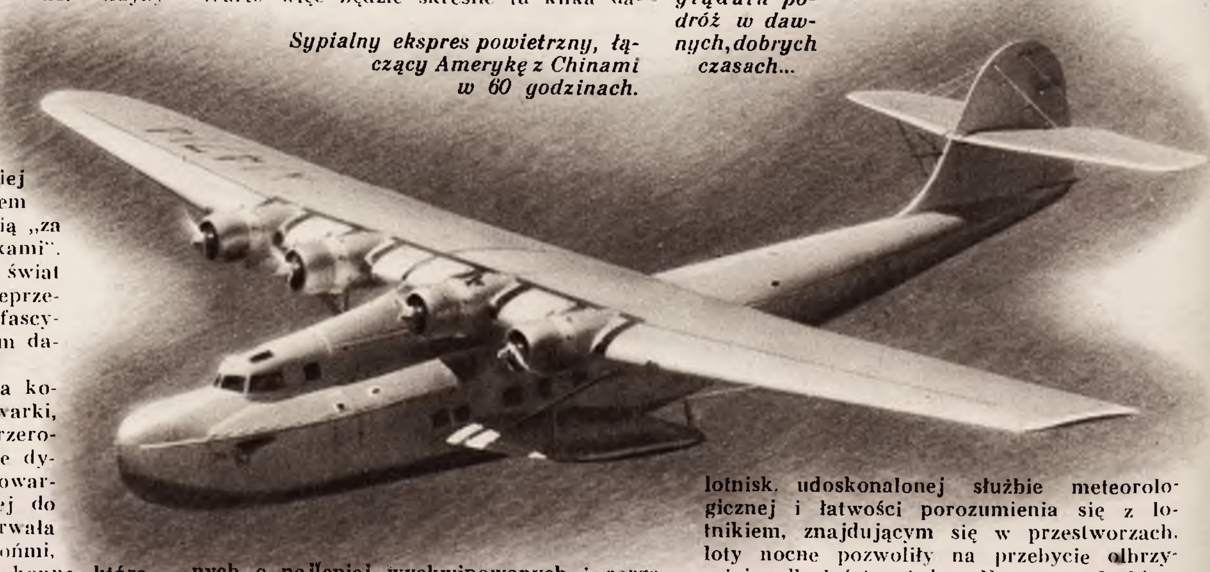
Ostatnie dwa lata (1932—1934) okazały się dla udoskonalania aparatów lotniczych w zakresie szybkości i bezpieczeństwa, oraz dla usprawnienia lotów pasażerskich i punktualności ich — specjalnie korzystne. Obecnie przeciętna szybkość powietrznego transportowca wynosi 250 km/g. Cyfry te odnoszą się do linij lotniczych na terenie Europy.

Ameryka — dzięki swym olbrzymim odległościom, doskonale funkcjonującym kolejom i wysokim wymaganiom podróżnych, postawiła o wiele trudniejsze zadanie samolotowi. Stany Zjednoczone posiadają aparaty pasażersko-pocztowe, zdolne do największych znanych nam szybkości handlowych — Szybkość statków powietrznych wynosi tam 250 do 350 km/g.

Stany Zjednoczone specjalnie predystynowane, jak o tem wyżej wspomnieliśmy — do tych wyników — ustaliły dla lotów pasażerskich rekordy szybkości. Warto więc będzie skreślić tu kilka da-



Oto jak wyglądała podróż w dawnych, dobrych czasach...



Sypialny ekspres powietrzny, łączący Amerykę z Chinami w 60 godzinach.

nych o najlepiej wyekwipowanych i zorganizowanych linjach powietrznych świata.

W Ameryce istnieje szereg towarzystw lotniczych, które konkurują ze sobą z równą zaciekłością, jak towarzystwa kolejowe czy autobusowe. Największą linją Stanów jest „United Air Lines", która pokrywa dziennie 64.000 km. Poza tem towarzystwem idzie „American Airways", „Transcontinental and Western Air" i inne. Te linje lotnicze zrobiły w r. 1934 — 58,400.000 km.

Właściwy rozwój komunikacji powietrznej w Ameryce zapoczątkowały mniej więcej przed rokiem nowe samoloty, które nawet na stosunki amerykańskie okazały się szczytem luksusu, szybkości i wygody. Jednocześnie te nowe typy samolotów, skonstruowanych całkowicie z metalu, podniosły bezpieczeństwo lotu do stu procent. Zakłady lotnicze Boeinga, które osiągnęły wielki sukces dzięki swym metalowym ekspresom powietrznym, wypuściły wkrótce potem na rynek ulepszone modele. Wszystkie nowe samoloty pasażerskie w Ameryce charakteryzuje niezmiernie starannie obmyślana linja opływowa, chowane podwozia, gwiaździste chłodzone powietrzem motory, systemu Whitney Wasp, oraz konstrukcja metalowa samolotu. Samoloty te, posiadające wielki zasięg i szybkość, są wyposażone w szereg ulepszeń. Warkot motoru, który dotychczas zmuszał do zatykania watą uszu, został usunięty zapomocą specjalnych izolacyj, elastycznego zawieszenia motoru itd. Również samoloty typu „Douglas", które sprowadzono do Polski, posiadają wszystkie zalety i ulepszenia najnowocześniejszych somolotów amerykańskich z tem jednak, że szybkość ich jest nieco mniejsza od ekspresów amerykańskich.

W Ameryce na wielkich szlakach konieczną jest komunikacja nocna. To też 40 procent wszystkich lotów w Stanach Zjednoczonych odbywa się nocą. Dzięki usprawnieniu punktów węzłowych, oświetlenia lotnisk, udoskonalonej służbie meteorologicznej i łatwości porozumienia się z lotnikiem, znajdującym się w przestworzach, loty nocne pozwoliły na przebycie olbrzymiej odległości między Nowym Jorkiem a San Franciskiem w 18 godzinach!

Samoloty przeznaczone do nocnych lotów są specjalnie wyekwipowane. Posiadają one reflektory, których siła światła dochodzi do miljona świec oraz telefoniczne aparaty pokładowe o zasięgu do 200 km. Punktem węzłowym amerykańskiego ruchu lotniczego jest Chicago. Stąd na wszystkie strony, aż po Seattle na Alasce i po Buenos Aires na południu rozchodzą się linie amerykańskich towarzystw. Obecnie uruchomiona została jeszcze jedna linja, na której kursują nowe sypialnie powietrzne. Jest to linja łącząca Stany Zjednoczone z Chinami poprzez Ocean Spokojny. W ten sposób odległość 9.000 mil, na przebycie której potrzeba było dotychczas 28 dni jazdy, pokryto w 60 godzinach lotu.

Społeczeństwo amerykańskie przyzwyczajone do wygody i lubiące szybkość — posługuje się bardzo chętnie samolotem. Świadczy o tem olbrzymia liczba pasażerów (550.000), którą w zeszłym roku przewiozły samoloty.

Wszystkie te ultra-szybkie środki komunikacji zdają się być dziś już niewystarczające. Koleje z dnia na dzień podwyższają swe szybkości. Buduje się pociągi o opływowych linjach, które przebiegają do 200 km/godz. Samolot wobec takiej konkurencji musi również podwyższać szybkość i stać się niezastąpionym. Dlatego też inżynierowie zajmują się dziś zagadnieniem podróży w stratosferze. Podróż w podniebnych rejonach stała się marzeniem konstruktorów — marzeniem, które być może już niedługo zostanie zrealizowane.

Kiedy lot przez stratosferę będzie już faktem dokonanym — świat skurczy się jeszcze bardziej. Stanie się on małem podwórkiem, które każdy będzie mógł szybko i dokładnie obejrzeć

(Dokończenie na str. 31-ej).

4 Rodziny Barrymoorów

Nadwyraz ciekawem zjawiskiem jest dziedziczenie pewnych wyjątkowych zdolności przez kilka zrzędu generacyj. Zjawiskiem tem oddawna zajmują się lekarze, chcąc wytłumaczyć ten fenomen, co zresztą udało im się dotychczas tylko częściowo. A przecież nie brak przykładów — choćby taka rodzina Bachów, z której pochodził słynny muzyk Jan Sebastjan, od kilku generacyj odznaczała się zdolnościami muzycznemi. Takim przykładem również są Barrymoorowie.

Już czwarte pokolenie Barrymoorów-Drewów zdobi scenę amerykańską. Świat teatralny i teatromani słusznie dumni są z tej rodziny, do której przyczepiony jest przydomek „Royal family of Broadway", czyli „Królewska rodzina Broadway'u", albowiem ulica Broadway, a mianowicie część jej pomiędzy 38-mą a 48-mą czy 50-tą ulicą stanowi centrum teatralne nietylko Nowego Jorku, ale i całej Ameryki. To co tu ma powodzenie idzie później na całą Amerykę, a co tu zrobi „klapę", nigdy więcej nie u rzy światła kinkietów.

Ethel Barrymoore widzieliście w filmie: „Rasputin" w bardzo słabej roli Cesarzowej. Jest to jedyny film nakręcony przez Ethel, która filmu nienawidzi. Natomiast jej bracia John i Lionel (osobiście wolę Lionela) są stałymi filarami filmu.

Broadway zaaprobował sztukę W. Somerset Maughana p. t. „The constant wife" i zaaprobował z entuzjazmem kreację Ethel Barrymoore w głównej roli. Toteż, wedle zwyczajów amerykańskich, sztuka poszła na prowincję, na kilka miesięcy do miast większych i mniejszych, na jedno, dwa, trzy, siedem przedstawień, zależnie od oczekiwanej frekwencji.

Pierwsze pojawienie się na scenie Ethel, dla kogoś kto jej nie zna, robi wrażenie dziwne, raczej nawet irytujące. Kobieta niemłoda, o ciężkiej figurze, nieładna, o głosie monotonnie rozśpiewanym, porusza się po scenie, jakby była trochę podpita. Irytuje głos, irytują maniery, zbyt nonszalanckie chodzenie i ruszanie rękami.

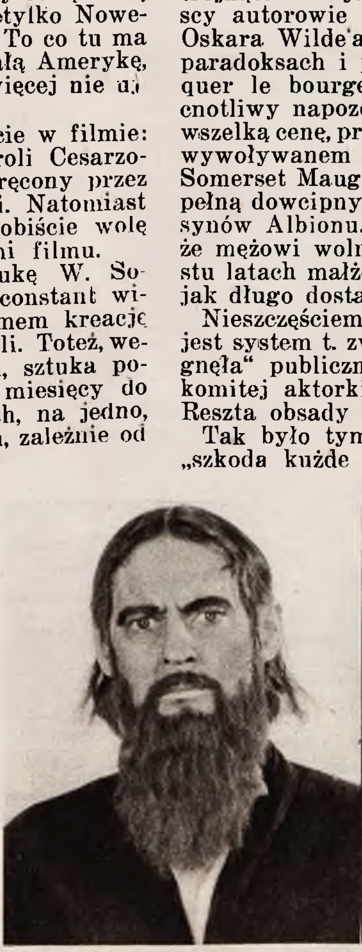
Po chwili jednak człowiek się przyzwyczaja i uważa, że to jest bardzo zajmujące. W drugim akcie jesteś zupełnie zafascynowany urokiem tej niewątpliwie wielkiej aktorki i koncentrujesz całą uwagę swą na każdem słowie, każdym geście, każdem spojrzeniu tej niezwykłej osoby. Wycyzelowanie każdego zdania i intonacji, każdego gestu wywołuje zachwyt nad artyzmem Ethel. I tylko żal się robi po zapadnięciu kurtyny, że to już koniec, że już się nie zobaczy tej aktorki przez długie miesiące.

Nie będąc zawodowym krytykiem teatralnym, nie potrafiłbym określić, na czem polega urok tej aktorki. Mogę tylko jako stary i wytrawny bywalec teatralny twierdzić bezapelacyjnie, że jest wielką aktorką, w tej samej klasie aktorskiej co nasza Przybyłko, Irena Solska, Ćwiklińska. Przytem poczucie humoru Ethel i jej czar są specyficznie amerykańskie.

Sztuka roztrząsa niebardzo nowy problemat trójkąta małżeńskiego, raczej dwu trójkątów w jednem małżeństwie. Angielscy autorowie dramatyczni, począwszy od Oskara Wilde'a, lubują się w dowcipnych paradoksach i ponad wszystko lubią „choquer le bourgeois". Bourgeois angielski, cnotliwy napozór i utrzymujący pozory za wszelką cenę, przepada za „łaskotaniem", wywywoływanem niemoralnością na scenie. Somerset Maughan napisał sztukę zgrabną, pełną dowcipnych dialogów, gorszących dla synów Albionu. Tezą jego i morałem jest, że mężowi wolno zdradzać żonę po piętnastu latach małżeństwa, żonie zaś nie wolno, jak długo dostaje od męża utrzymanie.

Nieszczęściem teatru amerykańskiego jest system t. zw. „gwiazd". By sztuka „ciągnęła" publiczność, wystarczy jednej znakomitej aktorki, lub jednego „gwiazdora". Reszta obsady jest obojętna.

Tak było tym razem. Obsada sztuki — „szkoda każde słowo". **W. Łabuński.**



Lionel Barrymoore.



Ethel Barrymoore.



John Barrymoore.





KARABIN nr 10753

ALEKSANDER BAUMGARDTEN

NOWELA

ILUSTR. Z. HAUPT

Strzelec Pięść szedł na wartę. Właściwie mówiąc, szedł nietylko on, ale i pięciu innych w celu obsadzenia odcinka granicznego na przestrzeni kilku tysięcy metrów. — Nic w tem zresztą nadzwyczajnego nie było, ot — codzienny obowiązek żołnierza i to żołnierza strzegącego granicy.

...Ale z tem żołnierstwem Pięścia, ściśle mówiąc Józefa Pięścia — było nieco gorzej...

Od pierwszej chwili swego przybycia do stanicy K. O. P.-u w Obieżewiczach, strzelec Pięść stał się przedmiotem radości i uciechy całej załogi. Bo też nic mu się jakoś od początku nie darzyło. Napozór drobiazgi: — brak manierki, nieumiejętność śpiewania, wreszcie wrodzona mu nieruchawość — wszystko to w sumie odosobniło go niejako od reszty kolegów i wysuwało go poza zgrane już i wesołe kolisko obieżewickiej braci.

Wszystko to jakoś nie mogło się w żaden sposób wyklarować w za dużym nieco łbie Pięściowym, i tak zwolna zarysowała się coraz większa bruzda, czy przepaść między samotnikiem a resztą...

Osobliwie uwziął się na Pięściową reputację wachmistrz Gryk, stary wyga K. O. P.-owy. Nawiasem powiedziawszy, miał w tem wiele racji, bo trudno puścić płazem nieumiejętne wypełnianie rozkazu, czy zbyt powolne poruszenia Pięścia w polu, powodujące w następstwie załamanie się pięknej linji „wysztyftowanej“ przez Gryka tyraljerki. Co jednak najbardziej bolało Pięścia, to ustawiczne wytykanie mu przez Gryka usterek w czyszczeniu karabinu. Karabin bowiem stał się dla Pięścia oznaką jego żołnierskiej sprawności, rzecby można — symbolem pewnej wyższości społecznej. Dlatego też wątpliwem jest, czy pamiętał dobrze datę i dzień swych urodzin — ale numer swego karabinu: 10753 umiał w każdej chwili wyrecytować, w dzień czy w nocy, pytany czy nie, — na wyrywki...

Szedł oto teraz Pięść — strzelec niewydarzony, razem z pięcioma towarzyszami i myślał. Po swojemu, powoli, ciężko, przeżuwał swe żale i zmartwienia, a na ramieniu kolebał mu się pięknie, jak zwykle, wyczyszczony karabin Nr. 10753...

Już pół godziny temu opuścili stanice, pachnącą mocną kawą poranną — rozśmianą, rozchełstaną stanicę K. O. P.-u. Został za nimi pogłos... „Kiedy ranne“... — chrzęst „szlusowanych“ butów — ostre pogłosy komendy.

Zapadli w lasy graniczne. Sławne lasy, zasadzek przemytniczych i niebezpieczeństw pełne. Automatycznie ściszyli kroki, wytężyli oczy i szli w milczeniu. Manierka nie brzękła, karabin nie szczęknął. Była cisza. Czasem jeno wilgi przegwizdywały się słodko w gałęziach wgórze — lub ciężką parabolą przetoczyło się listowiem jakieś większe ptaszysko. W pewnem miejscu przystanęli. — Parę cichych słów — karabin do ręki i rozeszli się oto wzdłuż granicy. Każdy został sam, z swojemi troskami i swojem niebezpieczeństwem. Znali je zresztą dobrze. Znał je i Pięść, sprawdzający w tej chwili zamek swego „Lobelia“, wszystko było w porządku. Ruszył zatem swym długim, nieco chwiejnym krokiem wzdłuż pasa granicy, znaczonego co kilkanaście metrów groźnym gestem pobielanego kamienia.

Dokoła każdego z nich nawijały się myśli idącego człowieka. — Pięść odmawiał swą drogę jak różaniec, żarliwie i uważnie: żeby się tylko nie pomylić.!..

...Mijały zwolna godziny, znaczone coraz to intensywniejszemi plamami słońca, coraz ostrzejszym kontrastem cieniów na liściastej podściółce leśnej. — Strzelec Pięść był zmęczony. Sennemi ruchami zgarniał przysiadający mu na powiekach upał i znużenie. A pod powiekami co chwila ukazywał się prosty tapczan żołnierski, własny Pięściowy tapczan, — na którym można się wyciągnąć słodko i spokojnie — jak tu, w lesie, na darni... na mchu...

— Tfy! — Mruczał gniewnie Pięść i przyciskał zimną lufę karabinu do spoconego policzka — odczytując z szacunkiem i miłością numer 10753 i jeszcze raz: 10753...

Tapczan znikał, kuszący mech przygniatała szeroka podeszwa Pięściowego buta. W różowawem świetle nasłonecznionego mroku, prostowała się znów na baczność, kamieniami białemi znaczona, — droga strzelca Pięścia.

Granica oddechała spokojem i bezpieczeństwem. Bezpieczeństwem naturalnem i prostem, jak prostą była linja, prowadząca od oka strzelca Pięścia do muszki jego karabinu. Wszystko było w porządku. — Karabin Nr. 10753 był na swojem miejscu. Czuwał!

Nagle jakiś szelest przerwał karabinowe medytacje Pięścia. — Od strony leszczynowych zarośli szły ciężkie kroki, łamiące z jakimś, jakby rozmysłem, głośno, wątłe podszycie leśne.

Szczęknął sucho repetowany zamek.

— Kto idzie? — skoczyło ku nadchodzącym krokom pytanie.

Z zarośli wydobył się z niejakim trudem chuderlawy, ryży człeczyna, stanowczo nieproporcjonalny do siły Pięściowego zapytania i ujrzawszy lufę karabinu stanął.

— Ty... dokąd?... brzęknął srogo Pięść, podchodząc bliżej, choć mu się śmiać chciało na widok zabiedzonej twarzy nieboraka.

— Ja chciałem... bo to... mają przechodzić dziś...

— Kto? — Przemytnicy? — przerwał Pięść bezradne bajdurzenie chudziaka.

— Tak!... Cukier... spirytus... — szeptał ten, jakby rozzuchwalony powodzeniem, przechylając się poufale ku przodowi...

— Gdzie... zaczął Pięść i nagle ulowił rozbłysły wzrok ryżego, skierowany z jakąś piekielną radością wbok, tuż poza niego...

Poderwał się — półobrót — ale już było zapóźno. Kątem oka ulowił tylko straszliwy zamach ręki z rewolwerem... Ból... drzewa zakręciły się, podeszły do góry i spłynęły wbok szumiącym zielonym potokiem.

Ktoś go ciągnie za ręce... Co to? — Karabin — Ka-ra-bin?... Aaaa... Nie nie można... Nie dam!... Bezwładnie leżące ręce usiłują utrzymać, obronić — nie dać. — Jeszcze uderzenie! — ogarnia go ciemność...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Gdy Pięść się ocknął... wszystko naokoło było w porządku: granica, trawa — nawet słońce nie odeszło — siedziało dalej ciepłe i okrągławe na liściach, na mchu, na pniach... tylko...

Nierozumiejący wzrok Pięścia błądził po wyplóczonej trawie naokół, aż przywarł nagłem olśnieniem do oku tego daszka czapki leżącej obok — o siąg ręki...

Napad! — ustalił rzeczowo Pięść, poczem popróbował podnieść się z ziemi... Poszło jakoś... Zataczając się i rozbijając o pnie drzew, dobrnął do pobliskiego strumyka — chciwemi ustami przylgnął do jego powierzchni. — Obmył twarz i głowę i oprzytomniał do reszty...

Rozejrzał się spokojniej dokoła, trąc z zakłopotaniem czoło. — Jezu! — Karabin! — złapało go za grdykę straszne odkrycie...

Karabinu nie było!

Jak oszalały rzucił się Pięść na poszukiwanie. — W okoliczne krzaki, pod drzewa, w haszcze — zalazł nawet do strumienia, choć wiedział, że karabinu tu nie przyniósł. Tysiączne myśli i obrazy przelatywały mu przez głowę: dał się wciągnąć w zasadzkę na posterunku — odebrali mu karabin! — Sąd — oficerowie — „Karabin jest rzeczą świętą“. „Strzelec składa się najpierw z karabinu a potem z człowieka“ — tłukły mu się po głowie sentencje wachmistrza Gryka.

Pięść powziął postanowienie.

Z zoranej butami polanki świeży jeszcze ślad prowadził wgłąb zarośli. Jak żądny krwi ogar rzucił się Pięść w labirynt rozkołysanej zieleni. Liście

DUMANIA JESIENNE. Jakby czując nadciągającą zimę flamingi pochowały trwożliwie głowy. A może jest to głębokie zastanowienie? (Fot. Presse-Photo, Berlin). ←

biły go po twarzy, gałęzie prały po policzkach, po oczach, a on biegł. Pnie i wykroty zastępowały mu drogę, bagienka i oparzeliska czepiały się nóg, a on biegł. Czasami padał ciężko, ale poto tylko, by porwać się w dalszy, szalony, niepowstrzymany bieg, w morderczą gonitwę. Minęła godzina — może dwie — może minuty — nie wiedział, darł się naprzód, jak opętany.

Nagle drgnął i przypadł do ziemi jak kamień. Przed nim — o kilkadziesiąt metrów, czterech drabów przesuwało się ostrożnie leśną linją. Nakońcu przemykał się, wysoki, chudy zbój z workami w obu rękach — a przez plecy, niedbale przewieszony — dyndał mu karabin — Pięściowa duma i chluba! Pięść nie był pewien, że to jego karabin, Pięść to wiedział, tak jak jeden brat nosi rysy twarzy drugiego brata w duszy, jak narzeczony zna rysy ukochanej.

Prześlizgując się jak wąż, zaczął pełzać, coraz bliżej i bliżej. Ani na sekundę nie spuszczał z oka swego karabinu. Przemytnicy szli wolno, pewni już i bezpieczni, przerzucając się od czasu do czasu leniwemi słowami. Pięść zbliżał się. Jeszcze dwadzieścia metrów, jeszcze dziesięć.



Karabin bowiem stał się dla Pięścia oznaką jego żołnierskiej sprawności.

...Czterej ludzie, idący lasem stanęli nagle, wytrzeszczając oczy, jakby zobaczyli upiora. — Z głębi lasu nadbiegł ku nim straszny stwór, z rozkudłaczoną, krwawą głową. — Stwór ten rycząc jakieś niezrozumiałe słowa, rzucił się ku jednemu z nich i jednem strasznem szarpnięciem, zerwał z niego, zrabowany przed chwilą karabin.

Napadnięty, ku swemu niesłychanemu zdumieniu, poznał w napastniku żołnierza granicznego, którego uważał za unieszkodliwionego, ale równocześnie wściekłość spowodu utraty zdobyczy rzuciła nim w Pięścia...

Stał on już z karabinem za drzewem. Miłośnie tuląc w rękach jego kolbę, wpatrywał się rozgorzałemi oczyma w przeciwników.

— Ręce do góry! — zachrypiał z wściekłością, celując do nadbiegającego draba... Trach! Trach! — Huknęły dwa strzały. — Przemytników było już trzech. Ale utrata zdobytego karabinu i nadzieja obfitego zarobku rozpaliły ich wściekłość, runęli ku Pięściowi, który przyłożył znów karabin do ramienia.

Jeszcze dwa strzały...

Zdala — z głębi lasu, nadbiegały nawoływania i gwizdy. —

...Szła pomoc...

Pięść walczył — ale coraz słabiej odpierał ciosy, w głowie huczały mu wszystkie młyny świata — czerwona mgła zalewała oczy...

Nagle jeden z napastników spojrzał za siebie — zaklął przez zęby, odskoczył wtył — w ręku zalśnił jadowicie browning...

...Przyciskając oburącz karabin do piersi, osunął się Pięść miękko w głęboki, puszysty mech...

— — — — — — — — — — — — — — — —

...Największą sensacją ostatnich dwóch miesięcy, był na stanicy Obieżewicze — starszy strzelec — Pięść. Szarżę wraz z pochwałą dostał za bohaterską obronę honoru żołnierskiego i zlikwidowanie bandy niebezpiecznych przemytników w rejonie obieżewieckim. — Lizał się coprawda długo z ran zadanych, ale to podniosło go tylko w oczach kolegów. Odtąd bowiem Pięść stał się bratem rodzonym w obieżewieckiej rodzinie. — Nawet wachmistrz Gryk... Drugiego dnia po powrocie Pięścia ze szpitala na stanicę, podczas południowej przerwy — wachmistrz Gryk wpadł do korytarza, gdzie w długim, pięknym rzędzie stały pod ścianą karabiny. Od progu już dojrzał Gryk jakiegoś żołnierza, stojącego zboku. — Był to Pięść, rozmawiający dziś po raz pierwszy od dłuższego czasu z swym karabinem.

...W mrocznym korytarzu stali oto naprzeciw siebie dwaj bracia: człowiek i karabin, lśniący radosnym odblaskiem cichego porozumienia pod lekką i serdeczną pieszczotą Pięściowych oczu i rąk...

...Srogi wachmistrz Gryk cofnął się cicho za próg, zamykając delikatnie za sobą drzwi...

Jak chorują zabytki muzealne?



Zdawałoby się, że jedynie żywa istota podlega chorobom i walczyć musi z wszelkiego rodzaju mikrobami, które je atakują. Tymczasem długoletnie doświadczenie muzeologów wykazało, że również i wszelkiego rodzaju zabytki, wykopaliska, obrazy, porcelana itd. podlegają swoistym chorobom, które w niektórych wypadkach mogą dany przedmiot przyprawić o... śmierć!

Już oddawna odpowiednia konserwacja eksponatów muzealnych stanowiła duży kłopot i przyczyniała zmartwień dyrektorom muzeów. Do r. 1888 jedynym sposobem konserwacji zabytków było nasycanie przedmiotów, pochodzących ze starożytności, pewnemi płynami, jak naprzykład szelakiem, lub też innemi żywicami, rozpuszczonemi bądź to w alkoholu, bądź też w benzynie lub terpentynie. Przy przedmiotach z bronzu stosowano środki chemiczne, lecz wszystko to wprawdzie odwlekało nieco chwilę „zachorzenia" zabytku, ale go nie wykluczało. Dopiero prof. dr Rathgen stworzył przy Państwowych Muzeach berlińskich specjalne laboratorjum, którem zarządzał do r. 1927. Ma ono na celu szczegółowe badanie „organizmu zabytków" i stosowania w każdym indywidualnym wypadku innej metody kuracji.

Choroby czepiające się zabytków, zwłaszcza pochodzących ze starożytności, da się podzielić na takie, które dzia-



WIATR SIĘ TŁUCZE WŚRÓD MURÓW... Ulica pustoszeje, drzewa oddały ostatnie swe liście, a st
mury nabrały poważnego, nieomal wrogiego wyra

Fot. Feliks Nowicki — Kr



Specjalnemi obcążkami zdejmuje się ze starych rzymskich strzemion i wykopalisk żelaznych rdzę, która je zżera.



Oto jak drogą elektrolityczną pozbawia się wykopalisko z bronzu szkodliwych soli.



Celem usunięcia szkodliwych czynników poddaje się zabytki z gliny powtórnemu wypaleniu w specjalnym piecu ceramicznym.

łają na drodze fizykalnej, lub też chemicznej. Już samo działanie światła, jak również tlenu, bezwodnika węglowego, a przedewszystkiem wilgoci wpływa niekorzystnie na wykopaliska. Bardzo niebezpieczne są w tym wypadku wszelkie sole ziemne, rozpuszczające się w wodzie, a działające na przedmioty z kamienia, gliny i metalu, natomiast na wykopaliska o pochodzeniu organicznem działają różnorakie bakterje, grzybki i różne odmiany kornika. Podczas gdy liczne arcydzieła sztuki egipskiej, zrobione z gliny lub kamienia, przeleżały tysiące lat w głębi ziemi, nie doznając żadnych szkód, przeniesione do naszego klimatu, wystawione są na działanie różnych soli, które w wybitnie suchym klimacie Egiptu nie czyniły im prawie żadnej szkody.

Jak dalece konieczną jest „medycyna" dla zabytków, wykaże drobny epizod, który zdarzył się w jednem z niemieckich muzeów. Otrzymało ono pewnego razu kilka tabliczek babilońskich, zapisanych nadwyraz ciekawemi hieroglifami. Złożono je chwilowo do szuflady i dopiero po kilku miesiącach zainteresowano się nimi. Jakież było zdziwienie uczonych, gdy stwierdzili, że tabliczki poprostu rozsypały się w pył! Okazało się, że powodem tego była wielka zawartość soli i gipsu, który na niektórych tabliczkach przybrał postać kryształków, dochodzących do wielkości jednego centymetra.

Jedyne to w swoim rodzaju laboratorjum posiada około 120 naczyń wszelkiego rodzaju i wszelkiej wielkości, do których składa się różne przedmioty celem wyługowania. Stała analiza wody, mająca na celu stwierdzenie jej zawartości soli, informuje specjalistów o tem, czy proces wyługowania jest ukończony. Jeżeli chodzi o przedmioty nieznoczące wody stosuje się alkohol, lub też mieszaninę alkoholu i wody.

Po wyługowaniu wykopalisk układa się je bądź na powietrzu, bądź też w specjalnych szafach celem osuszenia. Skoro to nastąpiło, przedmioty nasyca się różnemi roztworami kleju, oleju lnianego, lub też różnych żywic, a wkońcu parafiną. Wtedy następuje znów powtórne osuszanie. Jeżeli chodzi o przedmioty metalowe, to stosuje się działanie elektrolityczne, względnie mechaniczne, przyczem spryskuje się je różnemi lakami metalowemi celem zabezpieczenia przed dalszym rozpadem.

Wyleczywszy w ten sposób „kawałek" muzealny, należy dla niego znaleźć odpowiednie mieszkanie, aby nie był narażony na dalsze choroby. Zwraca się przedewszystkiem na to uwagę, aby przedmioty nie były wystawione na silne słońce, a niektóre z nich konserwuje się również w szafach hermetycznie zamkniętych, w których znajduje się termometr, wskazujący wewnętrzną temperaturę.

Trudno oczywiście uwzględnić szczegółowo wszystkie metody „klinicznego leczenia" zabytków starożytności. W każdym razie wypada zaznaczyć, że bez nowoczesnej wiedzy konserwatorskiej bardzo wiele zabytków rozpadłoby się dzisiaj na pył, pozostawiając po sobie jedynie wspomnienie.

K. H. Hunze.



Tabliczka babilońska zanurzona w odpowiednim rozczynie przechodzi kurację pozbawiającą ją soli.





Celem stwierdzenia choroby zabytku muzealnego przeprowadza się badanie zapomocą mikroskopu. — Na prawo: Popiersie Amenofesa spoczywa w hermetycznie zamkniętej witrynie zaopatrzonej w higrometr.

NA CO KOBIETA POLUJE?





Nawet podczas polowania nie wolno zapominać o pięknym wyglądzie, który wymaga raz po raz chwili skupienia. Na prawo: Miło jest wypoczywać po trudach... których się nie poniosło!



Kobieta, to dziwne stworzenie, jej słowa przeczą czynom, a czyny słowom, usta się uśmiechają, a oko patrzy groźnie... Życie kobiety składa się z wielu epizodów „na niby" i nie mających na celu tego, co oficjalnie zapowiada. Tak samo jest z polowaniem.

Polowanie z udziałem kobiety nabiera specyficznego charakteru, gdyż i tym razem cel jego nie zawsze jest ten, dla jakiego „normalny" myśliwy poluje.

Zresztą kobieta nie jest bynajmniej groźną dla zwierzyny, po pierwsze dlatego, że jest rzeczą prawie wykluczoną, aby mogła zabić zająca, gdyż raczej postrzeli śrutem przechodzącego opodal mężczyznę i w zwierzostanie nie powstanie żadna szkoda, a powtóre jej zapędy nemrodowe idą zupełnie w innym kierunku. Kobieta przez całe życie prawie poluje, co jest jednak jeszcze ciekawsze, stanowi sama zwierzynę i zwykle daje się upolować.

Czemże dla kobiety jest strzelba, czy dubeltówka nawet najlepszego angielskiego fabrykatu? Ot poprostu rekwizytem teatralnym, gdyż jeżeli chodzi o polowanie na serjo, to rozporządza ona daleko groźniejszą bronią. Kołczanem, z którego wydobywa tę broń śmiertelną jest jej torebka, w której leżą obok siebie ołówek do ust, khol, puder, grzebyczek i wiele innych jeszcze gatunków broni, o których nie śniło się nawet ani fabrykom Schneider-Creuzot, ani też sir Bazylemu Zacharowowi. Kobieta strzela przedewszystkiem oczami, a jeżeli już naprawdę musi wystrzelić z dubeltówki, to czyni to z wielką odrazą, patrząc się w drugą stronę i wzdrygając się.

A na jakiejże zwierzynie piękna kobieta wywiera swoje mordercze instynkty? Oczywiście, jak wszyscy o tem wiemy, nad płcią zwaną brzydką. To my bowiem jesteśmy owemi objektami kłusowniczych zapędów niewieścich to my łapiemy się w sidła i inne potrzaski, nas ranią w samo serce i

Celny strzał czy wdzięczna poza przed objektywem?

my wpadamy do oka i do przygotowanych zasadzek, przypominających nagonkę na zające. Na marginesie zaznaczymy, że nagonka łączy się językowo ze słowem „nagość“.

A przytem co za wspaniała okazja do pokazania nietylko pięknej sukni specjalnie uszytej na ten cel, ale również kształtnych nóżek! Oczywiście, że taka wyprawa łowiecka spali zupełnie na panewce pomimo tysięcy zajęcy, któreby się nawet ustawiała rzędem przed piękną panią o ile nie spotka miłego, a przedewszystkiem czułego na wdzięki niewieście reprezentanta gatunku męskiego.

Nakoniec powiemy, że zwierzęciem, na które najdawniej poluje kobieta był wąż. Jego to upolowała nasza pramatka w czasie, kiedy o „Asie“ nikomu się nie śniło, a cała ziemia pokryta była lasami i moczarami. **wz.**



Drobne poprawki przy stroju są ważniejsze jak wypatrywanie zwierzyny.



Wypoczynek na łonie natury jest bodaj-że milszy od samego polowania.

TRICKI zdemaskowane



Groźne bryły kamienne, które w rzeczywistości nikomu nie robią szkody.

Pamiętamy jeszcze wszyscy owe pocieszne filmy amerykańskie, które rozśmieszały nas do łez dzięki niezwykle pomysłowym i niesłychanie komicznym trickom. Zdarzało się nieraz, że pomysły te były tak fantastyczne, iż niesposób było nawet wytłumaczyć sobie, jak zostały one zrealizowane. Każdy przecież zdawał sobie sprawę z tego, że to wszystko w jakiejbądź formie musiało się kiedyś w rzeczywistości odbywać, najlepszy bowiem dowód, że zostało sfotografowane i że je oglądamy. Z drugiej znów strony zarówno ludzie, jak i przedmioty martwe nabierały w tych filmach takich paradoksalnych właściwości, odbiegających od tego wszystkiego, co znamy z życia codziennego, że nie pozostawało nic innego, jak włożyć to wszystko między bajki.

W wielu filmach amerykańskich stosownie do gustu amerykańskiej publiczności, aktorzy prędzej czy później posprzeczają się ze sobą i sięgają do rękoczynów. Widzimy na własne oczy, że jeden rozbija na głowie drugiego w kawałki porządne, masywne krzesło. Innemu znów ni stąd ni zowąd sypią się na głowę głazy takiej wielkości, że gdyby nawet były z drzewa, to i tak uśmierciłyby człowieka. Kiedyindziej znów widzimy kilkoro dzieci zebranych dookoła suto zastawionego stołu imieninowego. Na stole znajduje się olbrzymi tort pięknie przybrany. Nagle tort ten zaczyna powiększać swoją objętość, staje się kilka razy tak wielki jak był na początku i potem znowu kurczy się do pierwotnej wielkości, co powtarza się w pewnym rytmie, jakgdyby oddech rozfalowanej piersi jakiegoś olbrzyma. Zarówno dzieci na ekranie jak i wśród widzów są tem widowiskiem niebywale wzruszone i rozweselone.

Innym razem znowu oglądaliśmy jakiegoś dziwacznego ptaka, coś w rodzaju indyka, który w miarę karmienia go rósł w oczach. Wreszcie stał się tak wielki jak struś. Aktor zbliża się do tego dziwacznego ptaka i dotyka go szpilką. Jak można było się spodziewać, ptak momentalnie zapadł się w sobie i stopniał wprost.

Jakże często widuje się w filmach amerykańskich sceny małżeńskie, których ofiarą padają tłukące się z trzaskiem talerze i dzbanki! Jakże komiczni są ci jeźdźcy, którzy w żaden sposób nie mogą dosiąść konia, gdyż strzemię ciągle przed nimi ucieka.

Te i tym podobne igraszki są dziełem specjalistów prawie nigdy nie wymienionych na afiszu lub programach kinowych. Często pracują oni w własnych warsztatach domowych i wykonywują doraźne zamówienia reżyserów kinematograficznych. W Nowym Jorku jest nawet pewna firma „Messmore



Oto minjatura parowca, który zapomocą odpowiednich tricków udawać będzie olbrzyma morskiego. — W kole: Niesamowite wyczyny lotnicze fotografuje się w studjo, używając dziecinnej zabawki, poruszanej sznurkami.



i Damon", która posiada olbrzymie zakłady dla produkcji takich zabawek kinematograficznych. Wyrabia się tam wszystko, począwszy od olbrzymich okazów potworów przedhistorycznych ze świata roślinnego i zwierzęcego, saksofonów długości 5-ciometrowej, a skończywszy na mrugających pomnikach Waszyngtona i czarnych bocianach z dziećmi murzyńskiemi w dziobach. W zakładach tych przerabia się wielkie ilości specjalnego drzewa Balsa i Juka. Drzewo to jako najlżejsze z wszystkich znanych nam gatunków, rosnące w południowej Kalifornji służy do wyrobu tych mebli drewnianych, które można rzucić o głowę swojemu najlepszemu przyjacielowi, bez obawy zrobienia mu najmniejszej krzywdy. Jest tam wytwórnia naczyń domowych z gipsu tak pomalowanego, że wyglądają jak z porcelany. Naczynia te mają nieraz grubość kartki papieru. Są nadwyraz lekkie i odpowiednio kruche, tylko rączki i szyjki, za które aktor chwyta owe naczynia, są cokolwiek grubsze. Krawatki, odwijające się ślimakowato z błyskawiczną szybkością, mechaniczne pająki i t. d., to już drobne akcesorja, które można dostać w takiej wytwórni za parę dolarów. Wyżej opisany indyk kosztuje już nieco więcej; jest on zrobiony z gumy i posiada rurkę, przez którą wszystkie ziarna pakowane do dzioba tego ptaka wpadają znowu na ziemię w sposób niewidoczny dla publiczności. Równocześnie przez odpowiedni mechanizm powłoka zewnętrzna tego ptaka rozdyma się tak, jak balonik napełniony powietrzem. Nic dziwnego, że lekkie ukłucie powoduje natychmiastowy „zgon" tego ptaka.

W podobny mniej więcej sposób wykonany jest ów tort, „oddychający" tak intensywnie w takt westchnień pożądających go dzieci. Guma jest w ogólności najważniejszym surowcem do wyrobu tego rodzaju dowcipnych zabawek. Widzimy np. na ekranie dzielnego dżokeja, pędzącego na wspaniałym rumaku. Nagle zaszło jakieś nieporozumienie między przedniemi a tylnemi kończynami wierzchowca. Nogi przednie nie wiedziały widocznie co czynią nogi tylne, które bowiem pozostały na miejscu a przednie popędziły dalej. Jakie jest logiczne rozwiązanie takiego zjawiska? Oto tułów wydłuża się do trzechkrotnej wielkości. To oczywiście może rozpętać burzę śmiechu, właśnie dzięki swej naiwnej logice. A sekret tego tricku niebywale prosty. Rozciągnęła się tylko gumowa powłoka, maskująca korpus konia między tylnemi a przedniemi kończynami, w których oczywiście znajdowali się ludzie.

A jak powstają owe głazy, potworne w rozmiarach a tak nieszkodliwe? Jest to nic innego, jak cała masa starych gazet, oblepionych dookoła papierem. Jasne, że taki kamień muchy zabić nie potrafi. A czy wiecie, dlaczego nic się nie stanie aktorowi, który na ekranie uciekając przed kimś zwiewa co sił w nogach i rozbija ciałem swem po drodze niezliczone ilości drzwi szklanych? Otóż to szkło jest najzwyczajniejszym w świecie cukrem Taka tafla cukierkowa może też czasem zadrasnąć, ale wielkiej szkody nie wyrządzi.

Często wywołują salwy śmiechu parodje wynalazców. Tak np. w jednym filmie „genjalny wynalazca" skonstruował motor do bujaka. Na ekranie demonstruje swój wynalazek i siada na bujaku. Wynalazek jest tak „świetny", że bujak momentalnie wraz z nieszczęsnym wynalazcą rozpoczyna dzikie harce i skacze po całym pokoju, wprawiając w zdumienie wszystkich, którym chciał zaprezentować ów wynalazek, a cała widownia w śmiech. Kiedyindziej znów można zobaczyć oryginalne auto, którego starter był naprawdę pomysłowy. Oto za pociągnięciem linki w tyle wozu otworzyła się skrzyneczka z paszą. Za wozem postępuje muł, który chcąc dostać się do koryta z paszą popycha cały wóz głową naprzód. Naprawdę „cud techniki"!

Osobną serję tricków rozpoczęła era kina dźwiękowego. W jednej komedji filmowej bohater pałając żądzą zemsty na swoim rywalu podkrada się boso z workiem ostrych gwoździ na plecach do sypialni rywala, aby przygotować swojemu rywalowi „miękkie" posłanie. Nie wie jednak o tem, że w worku tym znajduje się mały otwór, przez który gwóźdź za gwoździem wypada na ziemię z głośnym dla publiczności trzaskiem tak, że gdy zazdrośnik dochodzi do celu worek już jest pusty. W tym wypadku brzęk wypadających gwoździ zostaje osobno zdjęty a mianowicie, rzuca się w atelier jeden gwóźdz po drugim do blaszanego naczynia. Dopiero



Jednym z najciekawszych tricków kinowych był bezwątpienia latający dywan w filmie „Złodziej z Bagdadu".

później zdjęcie dźwiękowe zestawia się i synchronizuje ze zdjęciem fotograficznem.

Takich tricków dźwiękowych jest coniemiara. Musimy sobie jeszcze uzmysłowić, że we wszystkich prawie wypadkach, gdy scena przedstawia jakieś niebezpieczeństwo dla aktorów i wrażliwe panie na widowni denerwują się drżąc o życie osoby działającej na ekranie, role aktorów odgrywają lalki. One to skaczą z 50-tego piętra, one to rzucają się do wody i one wreszcie giną pod gruzami palącego się domu. Niedobrze jest rozwiewać złudzenia. Sądzimy jednak, że mimo zdemaskowania najróżnorodniejszych tricków kinematograficznych zawsze jeszcze z przyjemnośmią oglądać będziemy dobre filmy, dobre komedje i farsy filmowe, chociaż wiemy, że to wszystko nie dzieje się naprawdę, tylko „na niby".

Inż. J. A.



Mrożące krew w żyłach sceny na tonącym okręcie inscenizuje się zapomocą wnętrza małej sali okrętowej, która wykonywuje ruch wahadłowy.

VENEZIA

la bella!...

ZDJĘCIA J. SZWEDO, KRAKÓW.





Wnętrze weneckiej katedry św. Marka.

Przedziwne miasto, wyrzeźbione w lagunach przez błękitne fale Adrjatyku i sztukę dziesiątek pokoleń znakomtych italskich artystów.

Po upadku Bizanzium, zanim Rzym dźwignął się z ruin, nosiła republika dożów dostojnie przez kilka wieków koronę i berło stolicy świata.

Wenecja powstała jak żadne dotychczasowe miasto. Na wyciętych lasach Dalmacji, które w postaci olbrzymich palów wbito w błotniste wybrzeże zaczęły się budować ludzkie osiedla, które wkrótce przybrały postać bogatego kupieckiego miasta. Miasto to, typowa rzeczpospolita rządzona oligarchicznie, zagarnęła na liczne wieki większość handlu europejskiego w swoje ręce, stając się mocarstwem. Lecz kupcy weneccy nietylko byli kupcami: umieli i musieli się przedzierżgać również w żołnierzy i rycerzy, aby bronić granic państwa, stojącego pod patronatem św. Marka.

Długi był szereg dożów, sprawujących najwyższe rządy w Wenecji. Krwawe to jednak dzieje, nie pozbawione nadwyraz oryginalnych, a nawet egzotycznych epizodów. Wenecja, wielkie targowisko średnich wieków, ściągało do siebie licznych awanturników, bohaterów, kondotierów, ludzi nie-



Gondolierzy weneccy odznaczają się zwykle pięknym głosem, to też wieczorem rozbrzmiewają w całem mieście przeróżne serenady.



Gdy nad światem zapada zmrok, Wenecja robi wrażenie miasta wyjętego z jakiejś baśni.





Szczyt katedry św. Marka przypomina swoją artystyczną finezyjnością przedmioty, które wyszły z pracowni złotnika.

zwykłych. Tacy Giustnianiowie, potomkowie bizantyńskich cesarzy, w purpurze już przybyli do Wenecji, w dalszym ciągu purpurową czapkę dożów nosili na głowie. Pamiątką po nich to słynny palazzo Giustiniani-Bandini ze wspaniałemi zbiorami. Inni patrycjusze, jak hr. Morosini, Vendramin, Gradenigo, Orseolo della Corte Brà, Mocenigo, Manin i tylu innych, to zamknięta w sobie elita rządzącą, z której wychodzili dożowie, członkowie Rady, prokuratorowie...

A cóż dopiero mówić o siedzibach tych wszystkich szlachetnych rodów? Każdy z nich to cacko architektury, rozsiane bądźto przy Canale Grande, bądź przy innych arterjach ruchu wodnego tego dziwnego miasta. Przed każdym z tych pałaców widoczne są słupy malowane kolorami herbowemi, a służą one do przymocowania zajeżdżających ekwipaży-gondoli. Pałace weneckie tysiączne kryją tajemnice, a mury ich mówią o przeszłości pięknemi malowidłami, starymi portretami i zabytkowem urządzeniem. Dziś, gdy romantyczną tradycję pokrył welon historji, Wenecja z dumą i powagą dźwiga swe dawne dostojeństwo klasycznego miasta sztuki, poezji i miłości.

Gdy w pogodny letni wieczór, znajdziemy się w najpiękniejszym, według Napoleona, salonie świata, na placu św. Marka, wtedy, — przy dźwiękach starej muzyki, wzorowo odtworzonej przez „Banda municipale", ulec musimy czarowi doznanych skoncentrowanych wrażeń estetycznych i przeżywamy szlachetną poezję piękna Wenecji.

Wszystko tu przemyślane przez wielkich mistrzów życia i sztuki. W tych chwilach wydaje się nam, iż rysujący się delikatnie przed nami w księżycowej poświacie widok fasady Bazyliki św. Marka, skrzący starem złotem mozaiki i bielą marmurowych koronek, to nie rzeczywistość, — lecz jakaś złudna feeryczna dekoracja skomponowana przez niewidzial-
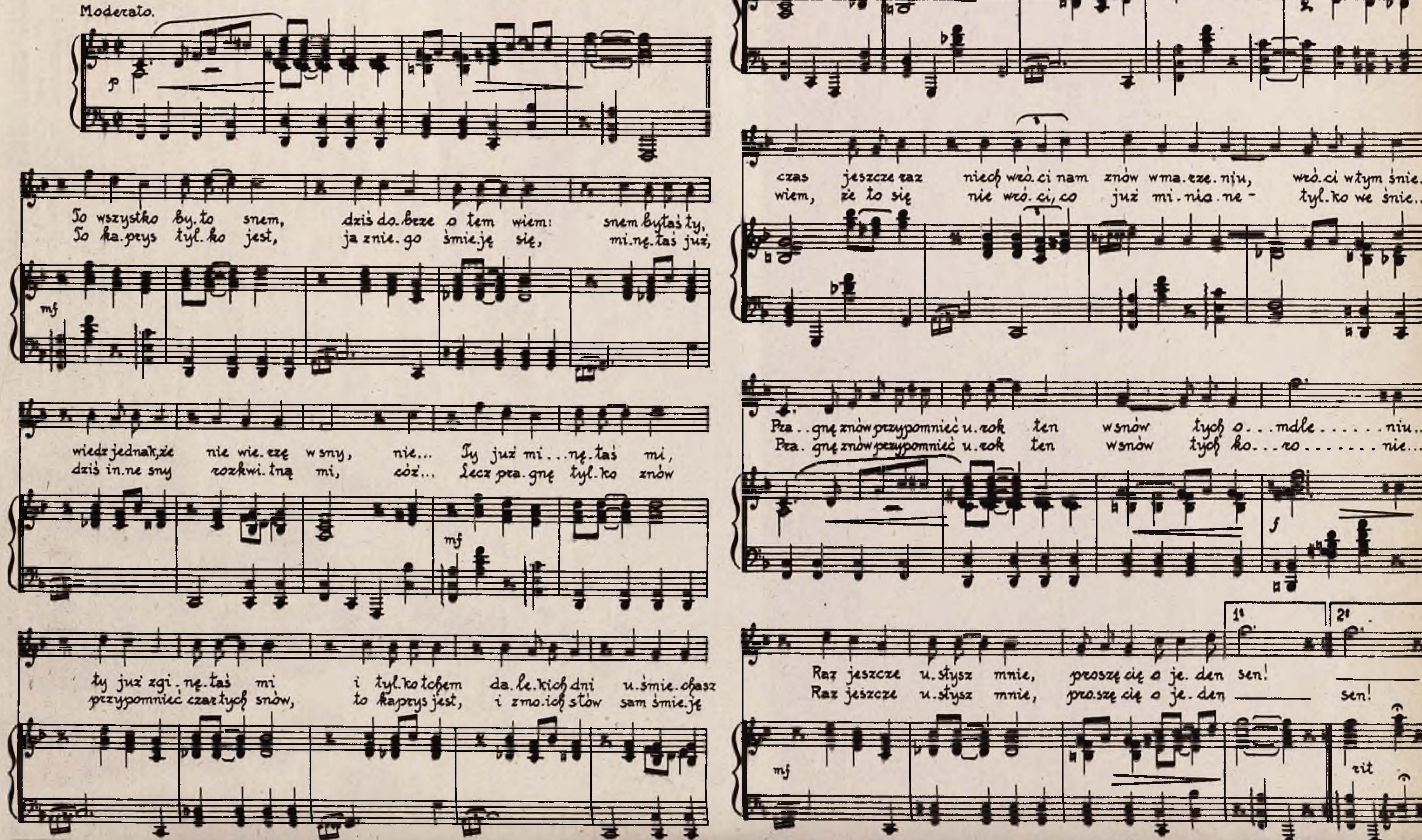
Dokończenie na str. 31-ej.

Nasz przebój muzyczny.

„O JEDEN SEN"

Slow-fox.

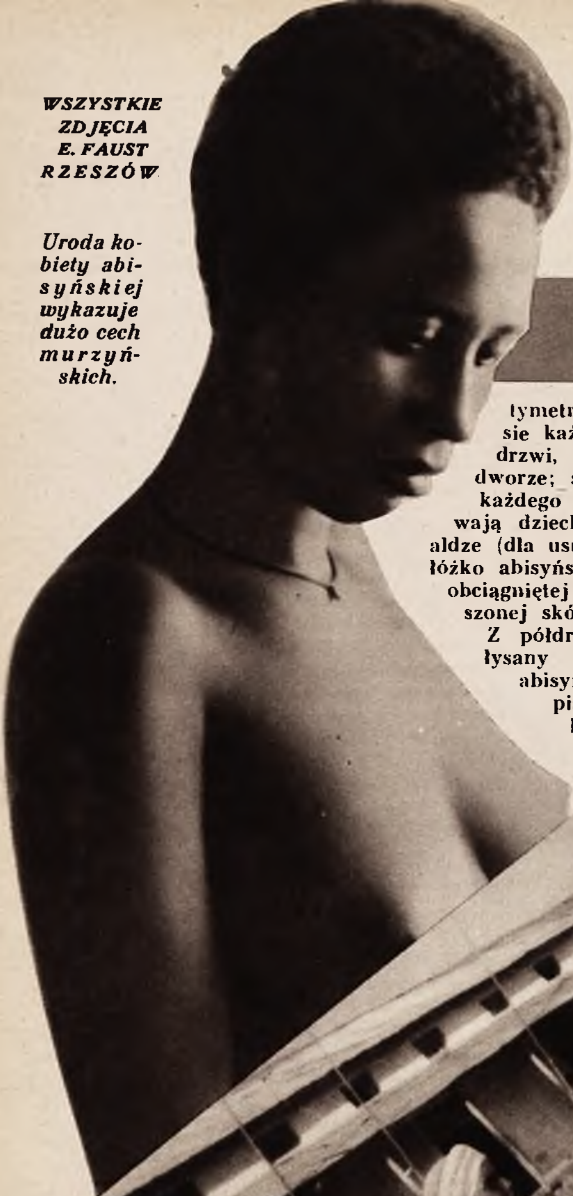
Słowa: Witold Zechenter. Muzyka: Kazimierz Meyerhold.



CIEKAWOŚĆ.
Urocza platynowa blondynka, Lucille Ball, z zainteresowaniem śledzi głosy życia, które ją dolatują. (Fot. Ernest A. Bachrach). →



WSZYSTKIE ZDJĘCIA E. FAUST RZESZÓW



Uroda kobiety abisyńskiej wykazuje dużo cech murzyńskich.

Co przeżyłem w Abisynji?



Oto typowa uliczka w stolicy Abisynji z parterowemi domami, podobnemi do chat wiejskich.

W kole: Addis Abeba posiada nawet w centrum, pola zarośnięte wysoką trawą, wśród której wypoczywają po pracy urocze Abisynki.



Pierwsze wrażenie, jakie na mnie wywarła piękna płeć zdobiąca kraj negusa, było conajmniej niesympatyczne. W każdym razie, nabrałem pod wpływem pierwszego wrażenia, lękliwego respektu, który mi długo towarzyszył przy stawianiu pierwszych kroków na czarnym lądzie.

Bo proszę sobie wyobrazić taki obrazek:

Byłem zmęczony urządzaniem naszego domku, któryśmy wynajęli u balambarasa Lidż Imanju (tj. pułkownika dziecka Imanjusza). Zaznaczam, że to dziecko liczyło sobie około pięćdziesiąt latek, sto kilo żywej wagi, nie licząc olbrzymiej szabli, zatkniętej za pasem i dwieście centymetrów obwodu, tak, że trzeba było w czasie każdych odwiedzin otwierać drugą połówkę drzwi, aby miłego gościa nie przyjmować na dworze; ale to już taki zwyczaj w Abisynji, że każdego Abisyńczyka, młodego czy starego nazywają dzieckiem. Otóż zmęczony, położyłem się na aldze (dla usunięcia nieporozumień zaznaczam: alga= łóżko abisyńskie, cztery nogi przymocowane do ramy obciągniętej wzdłuż i wszerz wąskimi pasami wysuszonej skóry krowiej).

Z półdrzemki, w którą zacząłem zapadać, kołysany ćwierkaniem czerwonych wróbelków abisyńskich, wyrwał mnie nagły rwetes, krzyk, pisk, który się nagle zakotłował w najbliższem naszem sąsiedztwie, wypełniając sobą nasz ogródek i wciskając się do pokoju wszystkiemi szparami, jakiemi były poażurowane drzwi okna.

Wypadłem z całym żywym inwentarzem naszej willi, to jest z moim przyjacielem, kilku gośćmi, boyem i psem do ogrodu. Dolatują nas wrzaski, pękają race jakichś dosadnych epitetów. Jedynym zrozumiałym dla mnie dźwiękiem było szczekanie naszego psa, który wcale po europejsku brał udział w toczącej się dyskusji.

Powód tej sceny był następujący:

W murku kamiennym, odgradzającym z tyłu nasz ogród od sąsiedniego, wybita dziura, spełniała z konieczności rolę furtki. Na kupie kamieni pozostałych po wyłamywaniu tej furtki i tworzących przed nią jakby kamienne schody, stała rozdygotana murzynka. Głowa, ręce, słowem każda cząsteczka ciała, znajdowała się w nieustannym szybkim ruchu, zatrzymując się tylko na sekundę dla podkreślenia jakiegoś szczególnie ważnego zwrotu retorycznego. Naprzeciwko niej greczynka, nasza sąsiadka, nie zostawała jej dłużną w odpowiedzi i zasypawszy odpowiednio dobranemi dźwiękami, pchała się na kupę kamieni, którą okupowała przez chwilę, zajmując na niej górujące stanowisko. Szanse walki na języki zmieniały się co chwila, punkt strategiczny przechodził z rąk do rąk. Z boku, oparty o mur przyglądał się temu z niewzruszoną powagą brodaty Abisyńczyk. W pewnej chwili głosy zaczęły się mieszać, wykrzykniki greczynki, które zupełnie nie straciły na sile, zdawały się jakby cichnąć wchłaniane potokiem słów czarnej. Biała zeskoczyła wkońcu jednym susem z zajętej pozycji i skryła się w mieszkaniu. Tak mimowoli byliśmy świadkami zwycięstwa Afryki nad Europą!

— — — — — — — — — —

Po upalnym dniu, gdzieś w połowie stycznia, rozścieliły się wieczorem dymy palonych w tokulach abisyńskich gałązek i liści eukaliptusowych i mieszały z wonią kadzideł, dymiących w arabskich sklepikach na tygielkach z rozżarzonemi węglami. Specyficzny zapach powstały z tej mieszaniny, wypełnił sobą wszystkie ulice, uliczki i zakamarki Addis Abeby i pełzał leciutką, przeźroczystą mgłą do stóp cesarskiego Gebi. Na granatowe niebo zaczął się wspinać pyzaty jak gombo księżyc i rozścielił nad tem wszystkiem jaskrawe, białe światło, wyczarowując z lepianek i ruder pałace z bajki.

Wyszliśmy razem z przyjacielem i zaczęliśmy się wałęsać bez celu. Nie chciało się mówić, gdyż człowiek tonął całkiem w uroku podzwrotnikowej nocy. Nie poznawał miejsc, które tyle razy w dzień mijał — tak wypiękniały w księżycowej szacie. Ze wszystkich stron ogarniał nas zmieszany gwar głosów, wydobywających się z pod niedotykających obmurowania dachów z falistej blachy, z tokulów, których wejścia bez drzwi falowały zwisającą, brudną szmatą. Jakieś opowiadania „ważnego" zdarzenia, które nagle przechodziło w chóralny serdeczny śmiech, jakieś szepty dolatywały z zewnątrz. Nad tem wszystkiem górowało poszczekiwanie wałęsających się tysiącami psów, przerywane od czasu do czasu przeciągłem ryczeniem głodnego osła lub poszczekiwaniem hjeny, która może właśnie w tej chwili zaspokajała mięsem głodnego osła swój apetyt.

Naraz zatrzymały nas dźwięki strun, płynące z wą-

skiej uliczki. Poszliśmy za niemi. Za ogrodzeniem siedziały dwie młode abisynki; jedna z nich, lekkiemi ruchami palców szarpała pięć strun naciągniętych. Stara blaszana miska, z której już miejscami rdza zjadła niebieską emalję, była obciągnięta wysuszoną skórą. Z boku miski wystawały ukośnie dwa prymitywnie ostrugane patyki, połączone poprzecznie górą trzecim. Od tej poprzeczki, nawinięte na małych kołkach, biegło pięć strun wspartych małem drewienkiem na napiętej na misce skórze. W takt akompaniamentu płynęła w minorowej tonacji pieśń:

Gadama gadama — gadama gadama
Ferendżi aszkar hedal ba dżibuti
Ferendżi aszkar hedal ba dżibuti
Min ijajal ferendżi aszkar?

A druga Abisynka odpowiadała:

Buzu buzu ijajal — buzu buzu
Ferensaj koncil ibalal asama syga
Inglis koncil ibalal asama syga
Dżermen koncil ibalal asama syga
Grik koncil ibalal asama syga
Talian koncil ibalal asama syga
Hullum ibalal sama syga
Abi...

(O miasto, o miasto, miasto! Sługa u białego pojechał do Djibouti — co widział sługa u białego? — Dużo, dużo widział, dużo, dużo.. Francuski konsul jadł świńskie mięso— angielski — niemiecki — grecki — włoski.— Wszycy jedli świńskie mięso, ojej).

— Zawołamy je do domu, zobaczysz jak tańczą — zaproponował mój kompan, znający Abisynję z poprzedniego pobytu.

Posłaliśmy boya, określiwszy mu dokładnie miejsce słyszanego śpiewu. Nie minęło pół godziny, a w drzwiach zabieliły się powiewne kuty, udrapowane z wdziękiem na zmarszczonych drobniutko w pasie długich sukniach. Wśród niezliczonych ukłonów i dygów zaszemrało nieodzowne abisyńskie „denajsterling" (zastępuje nasze dzieńdobry, dowidzenia itd. we wszystkich okolicznościach powitania i pożegnania) i na nasze zaproszenie przysiadły obydwie nieśmiało na brzeżku jednego krzesła, nie dając się w żaden sposób skłonić do zajęcia dwóch miejsc; o tańcu nie chciały nawet słyszeć. Do odtajania atmosfery przyczyniła się „Suwerenka" Baczewskiego, która przed kilku dniami zawitała do nas z Polski, opatulona wraz z innemi „koleżankami" w pękatej skrzyni.

Na Wschodzie, zależnie od okolicy, taniec polega na poruszaniu różnych części ciała. Rolę tę spełnia w Indjach i Arabji — brzuch, w całem Somali... „odwrotna strona medalu" smukłych Somalijek, a w Abisynji — łopatki.

Obie Abisynki stanęły naprzeciw siebie i wśród monotonnego nucenia pod nosem, trzymając ręce wsparte na biodrach, podnosiły kości łopatkowe aż do karku i szybkim ruchem ramion wstecz zbijały je razem z głuchym stukiem. Reszta ciała jakby zamarła w bezruchu, zaczęła się po chwili ożywiać łagodnem falowaniem. Nagle spłynęła zgięciem kolan w dół — ręce splotły się dokoła zwartych silnie nóg i przy głośnem wtórowaniu zbliżyły się tancerki do siebie w podskokach, podobnych do prysiudów, padając sobie w objęcia.

Przy kolacji chichotały ciągle, opowiadając sobie coś tajemniczego — i były bardzo miłe. Do herbaty sypały cukier bez pamięci, bułkę rozłupywały wąskiemi palcami, jakkichby się nie powstydziła największa elegantka europejska. Bułkę wypełniały cukrem i chrupały smacznie jedną za drugą.

Boy, niewołany, przyniósł na miednicy wody, umył każdej nogi, wziął na ręce i zaniósł na algę.

Rannem zajęciem Abisynki jest moczenie nóg i kontrolowanie, czy nie wżarła się w skórę pod palcami „mojali" (pchła ziemna, składająca pod skórą u palców nóg tysiące jajeczek, co może spowodować gangrenę). Ledwie włożyłem nogi do wody, przypadła do nich moja czarna tancerka i zaczyna je myć. Zrobiło mi się głupio, odsunąłem ją lekko i zabrałem się własnoręcznie do mycia. Skutek był niespodziewany: Abisynka poczęła głośno płakać.

Nie znałem jeszcze wówczas dobrze języka i wołam na pomoc przyjaciela.



Nad stolicą króla królów wszedł blady księżyc...

— Czego ona płacze?

— A coś jej powiedział?

— Nic. Wiesz, żem jeszcze nie „gramotny" po murzyńsku. Pokazałem jej na migi, żeby mi się nie szwendała koło nóg i nie przeszkadzała, bo je myję.

— Nie rób tego, bo się obrazi. To dla niej największy zaszczyt. Księżniczka czy dziadówka, wszystkie to robią. Wynik patrjarchalnego wychowania.

Cóż miałem robić? Pozwoliłem myć sobie nogi i nie płakała już więcej.

Ilekroć przyszła do niej jakaś koleżanka, dla której posyłała zaraz po tallę (rodzaj abisyńskiego piwa, blaszanka pięciolitrowa tego piwa kosztuje dwie pezy — 10 gr), musiałem odstępować przy myciu jedną nogę dla gościa, którego chciała w ten sposób uczcić.

Abisynka ma dla białego zawsze miły uśmiech, gdziekolwiek go spotka. Uśmiech ten wywołuje nadzieję, że może ją biały *(Dokończenie na str. 31).*





Na prawo: „Salon piękności" w Addis Abeba.
W kole: Zwykle piękny uśmiech okrasza twarze dziewcząt abisyńskich.



Na lewo: Koniec sporu o mur graniczny na ziemi abisyńskiej.



Poniżej: Kobiety szczepu Adala odznaczają się wybitnie murzyńskiemi rysami twarzy.

NA TARGU w ZAKOPANEM





Wiadomą jest rzeczą, że jeden i ten sam przedmiot oglądany oczami różnych ludzi przybiera odmienne postacie, dlatego też każdy drobiazg posiada niezliczoną ilość „odmian". Ta sama wielostronność odnosi się również do aparatu fotograficznego, który kierowany ręką i okiem ludzkiem zdolny jest uchwycić nieraz wysoce oryginalne obrazy. Zdarza się to również wtedy, gdy mamy do czynienia z przedmiotami zupełnie zwykłymi i takimi które na pierwszy rzut oka nie przedstawiają bynajmniej większej wartości artystycznej.

Trzeba jednak umieć patrzeć i umieć „podglądać" istotę rzeczy. W połączeniu z odpowiedniem oświetleniem, jak również ustawieniem tych przedmiotów uzyskuje się efekty niezwykle oryginalne.

Tak widzimy na naszych ilustracjach różne przedmioty użytku codziennego, z któremi spotykamy się codzień. Ale jakże ciekawie są one uchwycone!

Oto naprzykład miseczki, które służą w wiejskiem gospodarstwie domowem, a w których zgodnie z dziecinną powiastką mogła sroczka ważyć kaszkę! A oto kosze, które o ile się znajdą na targu pełne jarzyn i smakołyków, mogą być wcale sympatyczne, o ileż jednak stają się przykrzejsze, gdy je, powiedzmy, dostajemy od panny! A tam znów dobrze nam znane sita służące do przesiewania mąki, maku itd.

Dzięki ułożeniu tych rzeczy, nabierają one odmiennego charakteru i przestają być tylko tem czem są w rzeczywistości, stając się raczej jakimś symbolem, jakąś przenośnią, czemś wymagającem zastanowienia i wytłumaczenia. Są to wszystko efekty światła i zestawienia, które stanowią w sztuce fotograficznej tak cenne i ciekawe momenty. J.



Wszystkie zdjęcia J. Mroszczakowa Zakopane.







Dzieci Szczęścia

Tłumaczenie autoryzowane Julji Rylskiej.

14-ty ODCINEK.

J. KESSEL
POWIEŚĆ
ILUSTR. A. ŻMUDA.

— Proszę poczekać. Musimy jeszcze załatwić kwestję odszkodowania pańskiego. — Właściwie, kwestja ta mogłaby być uważana za już załatwioną, zważywszy, że udzielono panu poprzednio zaliczek w wysokości sześciomiesięcznych poborów pańskich. Lecz, biorąc pod uwagę okoliczności — mój Boże! — powiedzmy specjalne okoliczności — pan Vordeau godzi się wypłacić panu pensję za dalsze pół roku.

— Może ją sobie schować... — odparł spokojnie Le Droz. — W ten sposób ja znów udzielam mu zaliczki na atak apopleksji, który, prędzej czy później, ale go nie minie!

W tem miejscu sekretarz generalny redakcji Petit Francais uśmiechnął się po raz pierwszy w ciągu tej rozmowy. Był to uśmiech blady — ledwie że zadrgały od niego końce obwisłych wąsów starego dziennikarza.

— Na pańskiem miejscu — o ile mi pan pozwoli udzielić sobie jakiejś rady — rzekł — postarałbym się pogodzić z Plessoye. — Znam go i —

— Za nic na świecie!!

I Le Droz skierował się ku drzwiom. Bausserre rzekł jeszcze:

— Rodzina pańska mieszka, o ile mi się zdaje, w Draguignan... Czy nie byłoby dobrze, gdyby pan wyjechał tam na kilka tygodni... odpocząć...?

— Najpierw, nie wrócę tam, do nich, dopóki nie wypłynę. Moi starzy mie chcieli się zgodzić na mój zawód dziennikarski... Wolałbym puścić się, jak żebrak przed siebie, niż uznać się za pobitego. — Zresztą, to byłoby szaleństwem. Nie trzeba właśnie, żeby zapomniano tu o moim artykule.

— Tak pan sądzi...?

Le Droz wzruszył ramionami. Bausserre zaś patrzył ze smutkiem za młodym dziennikarzem, gdy tenże opuszczał pokój. Tyle już w życiu widział młodych ludzi, zdolnych, rwących się naprzód, jak usuwali się powoli w cień, dzięki szlachetnej otwartości i nieopatrznej pewności siebie, któremi chcieli wojować...

Aby rozwiać te smutne przeczucia i powrócić do stanu cichej rezygnacji, (z której bynajmniej nie był dumny!) — Bausserre włożył do ust pastylkę miętową i otworzył rzadkie wydanie Andrzeja Chenier — poety, którego ukochał nad wszystkich innych.

* * *

Droga, którą przyszło kroczyć Le Drozowi po owej rozmowie z sekretarzem generalnym redakcji Petit Francais, była jednym z najciaśniejszych i najprzykrzejszych przesmyków, jakie przebył w życiu.

Miał same tylko długi. Nie były to już czasy jego pierwszych kroków w dziennikarstwie, kiedy to z radością — i prawie, że z religijnym zapałem — godził się na najskromniejsze zajęcia w tym świętym nieledwie warsztacie, gdzie fabrykowało się sławę i karjery. Bo tak przedstawiał sobie wtedy prasę. Dziś stanął już na wyższym zakręcie owych stromych schodów, któremi piąć się trzeba ku świetnej karjerze i dziennikarskiej sławie. Zejść z niego nie miał ochoty. Praca bez rozgłosu — reporterka po komisarjatach policji, po salach sądowych i kuluarach parlamentu — nie była już dla niego. Nie chodziło tu już o samą miłość własną — lecz stracił był już zręczność i cierpliwość, niezbędne do takiej roboty. Teraz, aby dać dowód swej właściwej miary, potrzeba mu było podniety, jaką daje piękny temat — dalekie podróże — życie bogate w patetyczne momenty.

Wiedział, że niełatwo mu będzie uzyskać gdzieindziej przywileje, które wywalczył sobie w Petit Francais u Vordeau. Nie wątpił jeszcze jednak, że zczasem dojdzie do tych samych prerogatyw w jakiejś innej gazecie. — Naczelni redaktorzy paryscy — myślał — powinni dziękować losowi, że w ich interesie postarał się o zwolnienie z redakcji Petit Francais takiego asa reportażu, jakim jest Jacques Le Droz!

Jednakże, mimo że rozgłaszał nowinę o swojem zerwaniu z Vordeau po wszystkich kawiarniach, do których uczęszczali dziennikarze (w ten sposób bowiem przedstawiał rzecz całą), dnie mijały za dniami, a nikt nie zgłaszał się z propozycją, by zechciał zaszczycić podpisem pierwszą stronnicę jakiegoś dziennika — a choćby nawet czwartą...

W ciągu tego okresu Le Droz żył skromnie z drobnych pożyczek, wyciskanych z kolegów. Jadał obiady w związkowych jadłodajniach, które zawsze przejmowały go szczególnym wstrętem. Całemi dniami nie opuszczał mieszkania w obawie, że jakiś telegram lub pneumatyczna depesza gotowe nie zastać go w domu.

Wieczorem jednakże wychodził na miasto, rozumując, że teraz bardziej niż kiedykolwiek powinien pokazywać się ludziom. Wstępował do któregoś z nocnych lokali — wybierał jaknajtańszy z napoi — i pił go w nieskończoność. Czasem dawał się wciągnąć z rozmysłem w jakąś awanturę, czy bijatykę lub namówić jakiejś dziewczynce i opuszczał z nią lokal.

Do siebie nie wprowadzał nigdy kobiet; gospodyni jego, pani Mattenat była bowiem bardzo surowa na tym punkcie. Jeśli zaś kiedy, to teraz, należało być bardzo uważającym względem tej pani. Odnajmowała mu ona sypialnię, salonik i ubieralnię ze swego mieszkania na rue de Provence. Była to starsza już dama, rozmiłowana w literaturze pięknej. Le Droz podsycał zręcznie ów kult, zaopatrując ją stale w gratisowe bilety do teatrów. Ugłaskana niemi pani Mattenat, wykazywała dużo cierpliwości na punkcie komornego.

Po trzech tygodniach takiego smętnego żywota nadszedł jednak z konieczności dzień, w którym Le Droz mógł pozwolić sobie w południe tylko na bułkę ze szynką — wieczorem zaś tylko na białą kawę. Nie takiego pożywienia domagał się potężny jego organizm! To też, przechodząc koło jatki rzeźniczej, młody człowiek odczuwał za każdym razem przykre zawroty głowy.

Widząc, że lokator chudnie w oczach, że zamyka się u siebie i nie drukuje nic w Petit Francais, (ciągle jeszcze przysyłano jej gratis ów dziennik z redakcji) pani Mattenat z dnia na dzień była niespokojniejsza. Wreszcie pewnego wieczora poprosiła Le Droza, by podzielił z nią posiłek. Podczas obiadu zapytała go o zdrowie.

— Mam się doskonale — odrzekł Le Droz. — Jestem trochę zdenerwowany obecnie i szukam samotności. Ale to dlatego, że piszę w tej chwili dużą powieść. Nie chcę rozdrabniać się na małe artykuły, ani rozpraszać.

Lecz rozkosz, którą odczuwał pochłaniając duszoną pieczeń, podaną przez staruszkę, przeraziła go poprostu...

„Wobec tego, że ludzie nie rozumieją swego własnego interesu — zadecydował wreszcie, w poczuciu tego dziwnego braku uznania dla swej wartości — pójdę i złożę kilka wizyt“.

Przyjęcie, z jakiem się spotkał u znajomych redaktorów poszczególnych działów w wielkich dziennikach, napełniło go dumą i rozpaczą zarazem. Czuł, że wszędzie mają głęboki szacunek dla jego talentu i charakteru — ale ci, którzy mogli rozmawiać z nim szczerze, oświadczyli jednogłośnie, że trzeba jeszcze dłuższego czasu, by rewelacje w jego artykule zawarte, poszły w zapomnienie...

— Tak zawsze bywa — tłumaczył mu jeden z nich.

— Cóż chcesz, chodzi o politycznych przyjaciół... — starał się uniewinnić drugi.

— Redaktorzy naczelni nie lubią takich historyj u siebie — wyznał szczerze trzeci.

Wobec tego ostracyzmu Le Droz przypomniał sobie o dwóch tygodnikach, które od czasu do czasu zwracały się o artykuły do niego. Te mogłyby zapewnić mu jeszcze przyzwoite utrzymanie, jako że były świeższej daty i bardziej niezależne, niż poważna prasa codzienna. Przyjęto go z otwartemi rękoma w redakcji jednego z nich. Zaproponował kilka tematów — spodobały się odrazu. Jeszcze miesiąc temu byłby zażądał z miejsca zaliczki, lecz teraz nie śmiał nalegać, by nie dać poznać w jakiej żył nędzy. Wyszedł, nie spróbowawszy szczęścia.

Wybrał jeden z pośród tematów, które mu przyszły na myśl w redakcji; miał zamiar obrobić go natychmiast. Temat ten miał związek z produkcjami zawodowych tancerzy po dancingach i akrobatycznemi tańcami w music-hallach. Ponieważ wspomnienie Ivana podsunęło mu ów temat, udał się tego samego wieczora do „Kakadu". Unikał w ostatnich czasach tego lokalu, bowiem cena obowiązującego tam szampana czyniła go obecnie niedostępnym dla niego. Lecz przybywszy na miejsce, dowiedział się, że Vivant przez sześć wieczorów zaledwie pracował w tej instytucji — następnie znikł bez śladu.

Wtedy wstąpił do pokątnego domu gry. Grając, starał się trzymać nerwy na wodzy. Skończyło się tem, że wszedłszy do owej spelunki z dwudziestoma frankami w kieszeni, wyszedł z niej, mając, pierwszy raz od tygodni całych, sto franków przy duszy! Przejadł i przepił je natychmiast. Na stole restauracyjnym, przy którym pozwolił sobie na tę ucztę, napisał pod rząd trzy artykuły, z których jeden traktował bardzo fachowo o tańcach akrobatycznych, mimo, iż nie udało mu się spotkać z Ivanem.

Nazajutrz, bardzo wcześnie, stawił się ze skryptami w kieszeni, w redakcji przychylnie nastrojonego dlań tygodnika. Lecz tam właśnie czekał go cios najprzykrzejszy.

— Mój stary — rzekł do niego redaktor naczelny — biorę twoje skrypty, nie czytając ich nawet. Ale nie mogę ci za nie zapłacić. Kiedy wyszedłeś wczoraj, kasjer uprzedził mnie, że na wszystkie twoje ewentualne pobory u nas, położono areszt.

— Kto położył areszt? — warknął Le Droz.

— Jakiś komornik, działający na dobro niejakiego Laivre-Filieu, pośrednika w kupnie i sprzedaży.

„Ten lichwiarz z Bulwaru Malesherbes!" — o mało nie zakrzyknął głośno. Le Droz — tak poczuł się nagle osaczony zewsząd, ścigany, zdławiony niemal. Lecz udało mu się powstrzymać ów okrzyk; odetchnął głęboko, jakby po wysilku, do którego musiał użyć wszystkich sił fizycznych. W ciągu tej krótkiej chwili, przypomniała mu się cała sprawa:

Wróciwszy z Marokka, podpisał owemu Laivre-Filieu weksel. Skierował go doń jeden z naganiaczy lichwiarza, który grasował po klubach, gdzie grano wysoko. Na weksel ów Le Droz otrzymał trzy tysiące franków. Cała zaś suma, na którą opiewał, t. j. sześć tysięcy franków, miała być spłacona lichwiarzowi pierwszego sierpnia. Gdy nadszedł ów termin, zgłoszono się z wekslem w redakcji Petit Francais, a następnie w prywatnem mieszkaniu Le Droza — oczywiście bez żadnego rezultatu; obecnie zaś sierpień dobiegał już końca. Sam Le Droz nie troszczył się o ów weksel bardziej, niż o resztę swych długów. Czemuż więc padła na niego ta trwoga — nieledwie panika! — w tej chwili...?

Lecz nie bawił się długo analizą swych uczuć; zrozumiał, że ewentualne jego zarobki musiały być obłożone tymsamym nieubłaganym aresztem w kasach wszystkich redakcyj, które skłonne byłyby otworzyć mu łamy swych pism.

— Postaram się załatwić to — rzekł. Jednakże wolę z a t r z y m a ć moje skrypty. Za kilka dni zgłoszę się.

Tak więc, nawet i tę ostateczną ucieczkę — tę robotę przygodną, detaliczną, na akord — i tę nawet tracił! Bo przecież nie mógł przystać na to, żeby taki lichwiarz — złodziej taki! — zgarniał zarobione przez niego artykułami, pieniądze! — W takim razie, nie będzie już więcej pisał. — Piekielne, błędne koło! Aby żyć, trzeba pisać — pisać, to korzyść z tego będzie ciągnął wierzyciel! — Ta myśl sama wytrącała już stylograf z ręki.



Le Droz pociągnął go ku ławce.

Jedyne, co mu jeszcze pozostało, to przekonać tego Laivre-Filieu, że interes jego własny nakazywał zdjąć areszt w redakcjach i czekać pomyślniejszych czasów. Le Droz puścił się piechotą — nie miał już bowiem na taksówkę — z lewego brzegu Sekwany na bulwar Malesherbes.

Zaledwie jednak przekroczył Sekwanę, jakiś nieokreślony lęk, przeciwny jego męskiej, zdecydowanej naturze, zmusił go do zwolnienia kroku. Doszedłszy do Ogrodu Tuileryjskiego, zatrzymał się.

Przepych kwiatów, posągów i zielonych trawników śmiał się tu radośnie słońcu wokoło. Dalej, za Placem Karuzelu, ciągnęła się przed jego oczyma najharmonijniejsza perspektywa na świecie. Etapami jej były pióropusze bijących w słońcu fontann — dalej ogromny przepyszny plac — a koroną, olbrzymi Łuk Triumfalny, zamykający ją na horyzoncie.

— T u t a j trzeba się czuć szczęśliwym i zwycięskim! — myślał z goryczą. — Nie ma się prawa spoglądać na to w nastroju, w jakim jestem.

I jakby uciekał od tego widoku, rzucił się w boczną aleję. Szedł dosyć długo ze spuszczoną głową, zdjęty wstydem. Nagle opadły go krzyki dziecięce.

— Uwaga!

— Usunąć się!

— Z drogi!

Le Droz podniósł głowę i zobaczył, że wali nań jakiś człowiek-huragan na wrotkach, wokoło którego uwija się chmara bachorów. Nie czas już było zejść mu z drogi, więc Le Droz zaparł się tylko mocno, by wytrzymać zderzenie. W ostatniej jednak sekundzie człowiek na wrotkach okręcił się koło swej osi — wykonał serję skomplikowanych „pas", jak baleryna, utrzymując się w dygocącej równowadze na końcach wrotek — i rozpoczął rodzaj dzikiego, opentańczego tańca, wokół zdumionego Le Droza. Dopiero krzyki małoletniej asysty tancerza pozwoliły dziennikarzowi rozpoznać akrobatę:

— Niech żyje Ivan Vivant! — darły się dzieci. — Jeszcze, jeszcze Ivan! — Jeszcze!

Wtedy Le Droz pochwycił i unieruchomił tańczącego derwisza.

— To ty! — Ty! — krzyknął, nie mogąc oczom uwierzyć, rozpromieniony radośnie.

— To ty! — jak echo wyrzucił Vivant — pośliznął się, potknął — i uchwycił się ramienia przyjaciela.

— Proszę nie przeszkadzać! — poczęły wołać dwie dziewczynki, widać bardziej jeszcze żądne zabawy, niż reszta towarzystwa.

— Nic z tego, bachory! — Na dziś skończone. Dalszy ciąg jutro — oświadczył Vivant.

Zdjął wrotki, po które wyciągnęło się kilkanaście chciwych rąk. Zaczęła się bójka o ich posiadanie — a patrzący na nią Vivant miał w tej chwili ten sam wyraz, jak otaczające go twarzyczki dziecięce.

Le Droz pociągnął go ku ławce. Kiedy usiedli, zapytał:

— Czy to twój nowy zawód?

— Ależ nigdy w życiu! — Cóż znowu! — Zaraz ci wytłumaczę. — Czekaj, muszę zacząć od początku. — To dosyć skomplikowane, ale wszystko ma swój sens — zobaczysz. Mojej winy w tem niema — zaręczam ci! — O Boże, jak ja się ucieszyłem tobą! (c. d. n.).

Popołudniu i wieczorem



Bluza kasakowa z białego jedwabiu matelassée wykończona zakładeczkami i długim rzędem guziczków.

Moda jest ciągle bardzo wymagająca a nic nie wskazuje na to, aby naszym paniom starczyć mogły budżety domowe na przemile zresztą kaprysy mody. Czegóż jednak nie wymyśli sprytna kobieta, aby pogodzić... budżet z modą. Więc postawiono za cicho przyjętą zasadę, że jedna suknia musi służyć do podwójnego celu. I na ubiór wizytowy i wieczorowy. Tasama raz odsłoni plecy i ramiona, tworząc z czarnego aksamitu lub crepe satin suknię do każdej wielkiej gali, lub przy dodaniu kasaka nada się na skromniejsze wizyty czy do teatru.

Nie jest to zbyt wielka sztuka dobrać sobie taki właśnie model. Prawdziwą natomiast rewję dobrego gustu można stworzyć przez umiejętne dodatki, które ogromnie zmieniają charakter toalety.

A więc mamy obcisłą czarną wieczorową suknię. Dodajmy bryljantowe klipsy lub klamry, takież bransolety i agrafki do włosów, narzucając czarny lub tonowany tiul na ramiona, a suknia będzie utrzymana w dobrym stylu współczesnym.

A teraz jej odmiana. Pani może mieć kasaczek z wzorzystego jedwabiu lub lamy, przerobiony z dawniejszej sukienki balowej. Lub też czarną taftową bluzeczkę, suto marszczoną, której koronkowy żabot doda ogromnie dużo wdzięku. Mniej praktyczna, choć piękna, będzie biała bluza, którą należy stosować do wzrostu właścicielki, bo tylko wysoka sylwetka zezwala na znaczniejszą długość.

A więc przejrzeć tylko dokładnie szafy i szuflady a znajdą się zapasy na zestawienie, podobnych jak opisaliśmy, kompletów popołudniowo-wieczorowych.

Elwira.



Czarna bluza przybrana metalowemi guzami i kołnierzem białym pikowanym.



Wytworna pyjama z jasno błękitnego jedwabiu, z pikowanym kołnierzem.

Kwiat współlokatorem...

Dzisiejsze, nowocześnie urządzone mieszkania ogromnie się nadają do pomieszczenia w nich roślin doniczkowych. To istnienie kwiatów zdaje się być z góry przewidziane, są bowiem warunki sprzyjające ich życiu. Obszerne okna, zapewniają dostatek światła i powietrza. Na półkach przyokiennych znajdujemy dosyć miejsca dla roślin, ponadto wyższe stoliki oraz kombinowane z półkami komody i biurka mogą pomieścić jedną lub więcej doniczek.

Rozmieszczenie doniczek w pokoju jest specjalną sztuką — poza warunkami koniecznemi dla zdrowia rośliny, które powinny być zachowane, trzeba jeszcze uważać, aby roślina tworzyła „dobrą plamę" na tle danego urządzenia. Rozmiary muszą być także dostosowane do miejsca, którem rozporządzamy. O ile chcemy ustawić grupę z kilku doniczek złożoną, to najłatwiej będzie wykonać to z nieparzystej ilości roślin, a więc 3, 5, 7, różniących się wzrostem i ogólnym wyglądem. W zestawieniu grupami roślin kwitnących zwracać trzeba uwagę na odpowiedni, harmonijny dobór barw.

Obecność roślin pokojowych zwłaszcza w porze zimowej ożywia wnętrze i nadaje mu specjalnego uroku. Aby te rośliny wyglądały zdrowo i pięknie, trzeba się niemi oczywiście opiekować — każdy rodzaj niejako wymaga właściwego traktowania, ale tych rodzajów, rozpowszechnionych w dekoracjach mieszkaniowych jest stosunkowo niewiele, łatwo się więc zapoznać z ich naturą i wymaganiami. W suchem powietrzu pokojowem trzeba zwracać uwagę na zapewnienie kwiatom dostatecznej ilości wilgoci, a to przez należyte unormowanie podlewania. Wyczucie — kiedy i ile należy roślinę podlewać jest rzeczą trudną, gdyż nie da się ująć w żadne reguły, z jednej bowiem strony zależeć będzie od warunków środowiska, w którem żyją rośliny, z drugiej, od ich indywidualnych wymagań. Nie należy się obawiać obfitszego podlewania w czasie silnego wzrostu rośliny, (który pod wpływem silnego naświetlenia i wyższej temperatury ma miejsce w miesiącach letnich), gdyż wtedy zapotrzebowanie wody jest b. duże, natomiast ograniczyć podlewanie w miesiącach, w których wzrost jest zahamowany. W takich okresach spoczynku, znamiennych np. dla roślin cebulkowych, podlewa się niewiele, a więc jedynie tylko dla podtrzymania życia korzeni. Wiemy natomiast, że te same rośliny cebulkowe w czasie silnego wzrostu i kwitnienia (np. hjacenty) są niezłymi „pijakami". Ponadto trzeba brać pod uwagę temperaturę pokoju, w którym rośliny stoją, zrozumiałem jest bowiem, że w ubikacjach zimnych trzeba podlewać umiarkowanie, przy wyższej natomiast temperaturze otoczenia znacznie więcej.

Nie można tu podać ścisłych norm, ale tego ustosunkowania wilgoci uczy się miłośnik kwiatów z codziennej praktyki. Rośliny silnie zakorzenione o wielkiej masie liściowej wymagają znacznej ilości wody do należytego rozwoju, a na wiele z nich stojących w suchem powietrzu mieszkania (Ficus, Philodendron, Paprocie) oddziaływuje znakomicie kropienie stosowane po podlaniu.

Przy pielęgnacji roślin pokojowych popełnia się najwięcej błędów przez niewłaściwe stosowanie podlewania i widzi się częstorośliny systematycznie zasuszane, gdyż podlewa się jedynie wierzchnią warstwę ziemi, tymczasem trzeba, aby woda doszła do całego systemu korzeniowego.

Obok podlewania, drugim kardynalnym warunkiem pięknego wyglądu roślin pokojowych jest dostateczna ilość światła; mało posiadamy roślin, mogących istnieć w miejscu ciemnem: Aspidistra, Ficus austr. Jucca, Viburnum, Evonymus, paprocie.

Podkreślając znaczenie światła dla rośliny, nie mówimy jednak, że jedynie na oknach wychodzących na południe czy wschód można utrzymywać pięknie wyglądające rośliny — jest wiele rodzajów, którym sprzyja światło północne i tak przy starannej pielęgnacji może się w pokojach na północ skierowanych udawać: Philodendron, Marauta, Sanguinea, Draceny, Urtica biloba, Viburnum Finus, wreszcie ulubione Begonje liściaste (Rex).

Oczywiście, że w dekoracji mieszkania przewagę będą miały rośliny kwitnące — a bogactwo barw, które zdobyła hodowla ostatnich lat umożliwia dobór i zastosowanie kwiatów do koloru ścian i mebli.

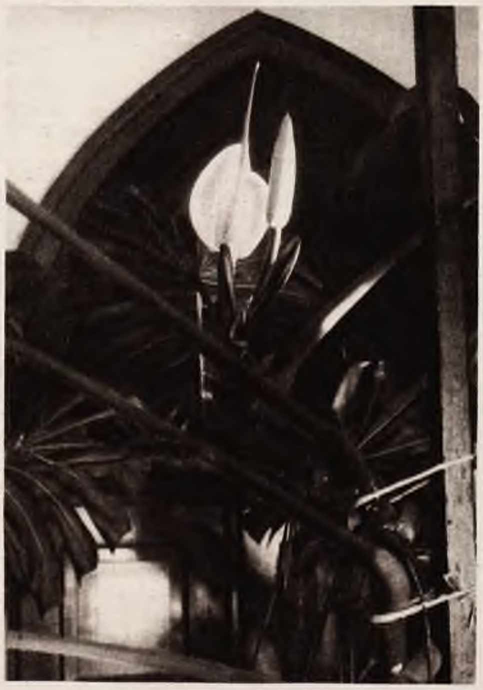
Przy tym wyborze uwzględnić trzeba harmonję barw, gdyż przy nieumiejetnem zestawieniu kolorów, efekt może być stracony.

Jaskrawe barwne kwiaty, jakie spotykamy u kamelij, róż. tulipanów wyglądają pięknie na tle jasnobłękitnego pokoju. — Przy ścianach białych lub popielatych można wprowadzić większą rozmaitość barw, jednak dekoracje trzeba pojmować szerokiemi plamami.

Wu-ge.



Kwiaty filodendrona odznaczają się swoistą oryginalnością.



Wspaniały kielich kwiata filodendrona posiada szerokość 23 cm.



Piękny okaz filodendrona w mieszkaniu p. Zofji Batyckiej we Lwowie. Wysokość krzewu wynosi 3.75 m., łodyga okryta jest piętnastoma liśćmi, ukoronowana zaś dwoma kwiatami.

Życie towarzyskie i artystyczne

„KORDJAN" W TEATRZE POLSKIM



Wśród poważnego repertuaru warszawskiego Teatru Polskiego wybitne miejsce zajmuje „Kordjan", który ostatnio znów pokazano publiczności. Wybitne miejsce w tej arcytrudnej sztuce zdołali swą grą zdobyć Irena Borowska w roli Laury i Marjan Wyrzykowski w roli Kordjana. P. Borowska znana jest jako znakomita odtwórczyni postaci szekspirowskich.

STATUA WOLNOŚCI W MEKSYKU

Na wyspie Janitzio w stanie Michcacan powstała olbrzymia statua wolności, wzniesiona ku czci sławnego meksykańskiego bohatera, ks. Don Jose Maria Morelos, który w r. 1810 stał na czele walki wolnościowej. Twórcą pomnika jest Guillermo Ruiz, znany rzeźbiarz amerykański.

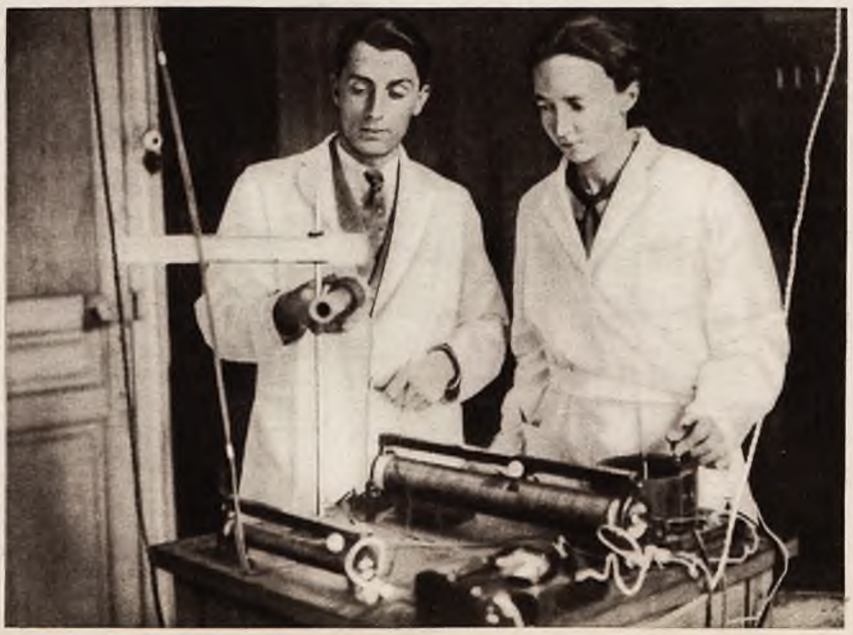


NOWA PREMJERA KRAKOWSKA

Ostatnio teatr Miejski im. Juljusza Słowackiego w Krakowie wystawił sztukę p. t. „Muzyka na ulicy" autorstwa Schurka i Sassmana. Sztuka cieszy się powodzeniem. Główne role: Florka — gra Włodzimierz Macherski, a Feli — Teresa Suchecka, których widzimy na naszem zdjęciu.



NOWI LAUREACI NOBLA



Wielkie wrażenie wywołało w świecie naukowym przyznanie tegorocznej nagrody Nobla z dziedziny chemji prof. Fryderykowi Joliot i jego małżonce p. Irenie Curie-Joliot, córce śp. Marji Curie-Skłodowskiej. Jak wiadomo córka wielkiej uczonej poświęca się pracom w zakresie chemji, kontynuując w ten sposób czcigodne tradycje naukowe swej znakomitej matki, która 32 lat temu otrzymała nagrodę Nobla w zakresie fizyki za badania nad radjoaktywnością. Na zdjęciu naszem para uczonych w swojem laboratorjum.

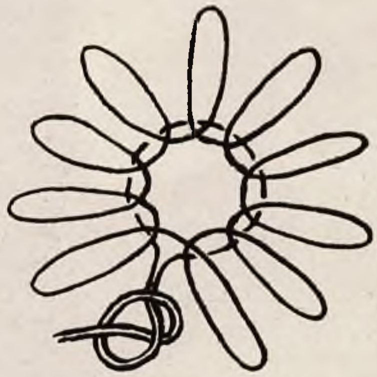
CO NAM PRZYNIESIE ŚW. MIKOŁAJ?

Czy może być bardziej uroczysty i pełny „wielkich wzruszeń“ dzień dla naszych dzieci, jak dzieś św. Mikołaja i dzień wilji? Tysiące rozgorączkowanych świętem buziaków oczekuje prezentów, zachodząc poprzednio w głowę, co siwy starzec z dużą brodą przygotował. W dzisiejszych kryzysowych czasach mało kogo stać na drogie zabawki, trzeba sobie pomagać taniemi, które niemniej wzbudzą zachwyt obdarowanych. Dziecku przecież nie chodzi o cenę zabawki, a o jej pomysłowość i wygląd.

Kukiełki, zrobione z kolorowej wełny mają dużo zalet; nadają się przedewszystkiem dla każdego wieku: dla dzieci stanowią wesołą i barwną zabawkę, dorośli zaś posadzą je na poduszkach kanapy lub na meblach, gdzie będą tworzyć efektowne plamy; pozatem łatwe są do wykonania, a koszty związane z robotą — minimalne. Wreszcie laleczki te będą doskonałemi upominkami na zbliżający się dzień św. Mikołaja.

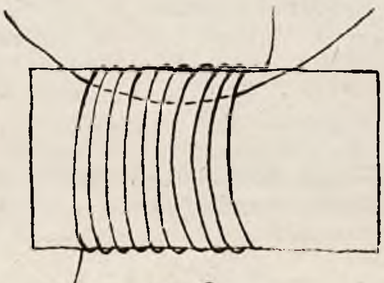
— — — — — — — — — —

Robotę lalek zaczynamy od góry; głowę „chłopca“ zrobimy z owalnej gałki waty, którą owijamy równo żółto-pomarańczową wełną według rys 1: najpierw ukośnie nakrzyż (a), następnie poprzecznie (b) i wreszcie pionowo (c); można całą głowę robić z wełny, ale wychodzi przytem dużo materjału. Mając już tak przygotowaną głowę, haftujemy oczy i usta oraz zaznaczamy nos; w szczegóły te musimy włożyć nieco starań, bo one w dużym stopniu zadecydują o wyglądzie lalek — najlepiej też wykonać je komicznie: oczy robimy rozmyślnie duże, aby były wyraziste, haftujemy je bronzową wełną, a kąty z jednej strony podcieniujemy — czarną; tym samym kolorem zaznaczymy nos, usta zaś wykonamy wełną czerwoną, przytem jeśli chcemy aby były kapryśne — robimy je prawie okrągłe lub



rys 6.

Schemat wykonania beretu lalki.

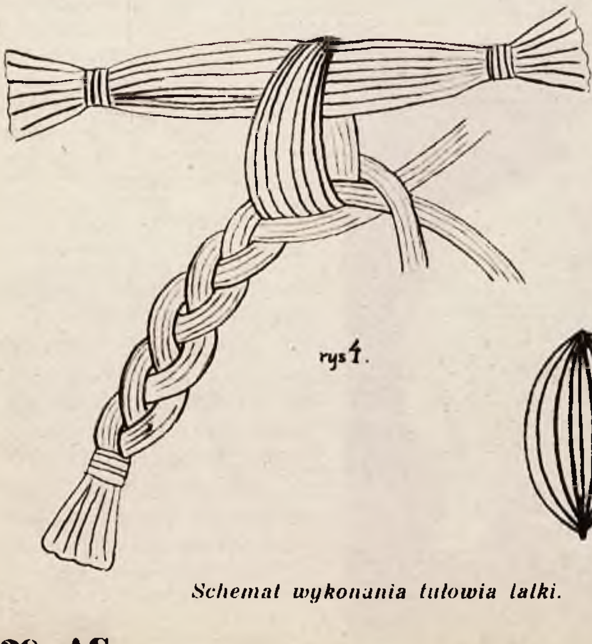


rys 3

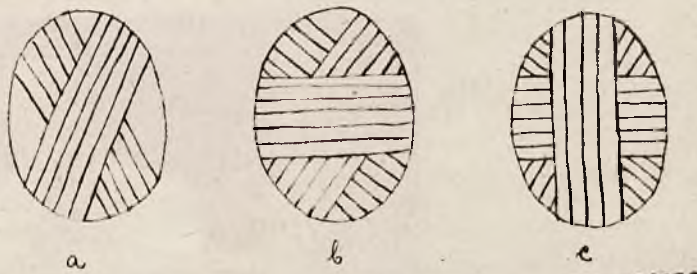
Schemat odnoszący się do roboty tułowia.



Oto lalka, którą z kolorowej włóczki można zrobić łatwo w domu.



rys 4.

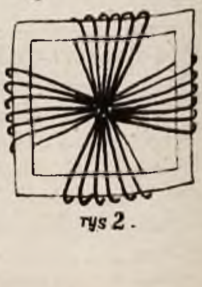


a b c

rys 1.



rys 5.



rys 2.

Schemat wykonania tułowia lalki.

Schemat według którego należy sporządzić głowę lalki.

owalne, jeśli zaś mają się śmiać — przedłużamy je na boki.

Chcąc robić włosy, musimy przygotować kwadratową ramkę z tektury o boku przeszło 10 cm; na nią nawijamy kilkakrotnie czarną wełnę i związujemy na skrzyżowaniu (rys. 2); następnie rozcinamy ją na krańcach, zdejmujemy z tekturki i tak przygotowaną perukę przyszywamy na czubku głowy.

Teraz wykonamy tułów. W tym celu nawijamy na prostokątnej tekturze szerokości około 10 cm kilkadziesiąt (50) zwojów bronzowej wełny, którą związujemy w górze nitką (rys. 3) i zdejmujemy z tekturki: obecnie tułów przedstawia się jako szereg pętli, zwisających promienisto ku dołowi. Przechodzimy do roboty nóg, — bierzemy trzy pasemka błękitno-zielonej (kolor morski) wełny równej długości (ok. 30 cm); jedno pasemko przesuwamy przez pętle tułowia, zaś dwa pozostałe układamy nazewnątrz (rys. 4), bacząc na to, by wolne końce wszystkich trzech pasemek były z obu stron równe; teraz splatamy je w warkocz, zakończeniom nadajemy kształt frendzli, a powyżej efektowne zakończenia nóg. Na ręce użyjemy pasemko bronzowej wełny długości przeszło 20 cm; przesuwamy je przez górne części pętli tworzących tułów i jedynie przy końcach omotujemy czerwoną wełną (mankieciki); taką samą nicią owijamy kilkakrotnie tułów przez środek i ściągamy lekko — będzie to pas. Czapkę zrobimy koloru spodni, posługując się rys. 5; mianowicie kilkanaście zwojów wełny (długości 5—6 cm) układamy na głowie i naciągając lekko przyszywamy z przodu i z tyłu nakształt pieroga; piórko na czapce robimy z kilku nitek granatowych według szematu na rys. 5. Nakoniec głowę przyszywamy luźno do tułowia, a tak utworzoną szyję owijamy, podobnie jak pas, czerwoną wełną. Pamiętajmy o tem, że na wełnie nie możemy oszczędzać, jeśli chcemy by lalki wyszły nam efektownie.

— — — — — — — — — —

Lalka „rodzaju żeńskiego" przedstawia się podobnie, jeśli jednak chodzi o wykonanie techniczne — będziemy z nią mieli więcej kłopotu. Głowę zrobimy tu nieco mniejszą i węższą; wyhaftujemy czarne oczy z dużemi łukami brwi (najlepiej wykonać czarnym lacetem), zaznaczamy nos, purpurowe usteczka i przyczepimy rudo-bronzowe kręcone loki; w tym celu nawiniemy długą nić wełny (około 2 m) na wąską (1/2 cm szer.) tekturkę i przyprasowujemy ją żelazkiem; po zdjęciu złożymy nić kilkakrotnie i przyszyjemy na czubku głowy.



Nawet żywy koń nie zdoła wzbudzić takiej radości u dziecka, jak konik na biegunach.

Beret wykonamy tak, że na tekturkę szerokości 2 cm nawiniemy conajmniej 50 zwojów dwóch nitek (granatowej i błękitno zielonej), złączonych razem; przez środek przeciągamy potrójną ponsową nić i po zdjęciu z tekturki związujemy ją w węzeł (rys. 6); ściągamy tak wszystkie zwoje, które po kilkakrotnem strzepnięciu ułożą się nam w rozetę; wolne końce czerwonej nici ucinamy skośnie — tak utworzy się pompon.

Tułów wykonamy tak, jak poprzedni, lecz z wełny granatowej, przeciągając przezeń ręce (nieco krótsze) błękitno-zielonego koloru; trzeba je zakończyć granatowemi mankiecikami, zaś pas i szyję owinąć nitką błękitno-zieloną.

Najwięcej czasu zajmie nam spódnica — składa się ona z dwóch części: wierzchniej krótszej, jasno-czerwonej i spodniej dłuższej — ponsowej; wobec tego na pierwszą część dla nawinięcia wełny użyjemy tekturki szer. 7 cm, zaś dla części drugiej — szer. 10 cm; na obie tekturki nawiniemy conajmniej po 100 zwojów; pozatem postąpimy jak przy robocie beretu, ale zwoje obu spódnic związujemy nitką luźno i przez tak uzyskane otwory przeciągamy dolną część tułowia aż do pasa. Nogi splatamy z granatowej wełny — muszą być znacznie cieńsze i krótsze niż u lalki poprzedniej; przesuwamy je całe przez pętlę tułowia — postępujemy tu inaczej niż poprzednio, aby spódnica dobrze się układała; roztrzępione końce nóg przewiązujemy błękitno-zieloną nicią.

Do zabawek tu omówionych nadają się nawet najtańsze gatunki wełen, — należy jedynie zwrócić baczną uwagę, aby dobrane kolory były żywe i przyjemne dla oka.

Jo.



Oto para lalek, zrobionych z włóczki.

Poniżej: Gdy tylko zbliżają się święta, lalki dziecięce stają się aktualnością dnia.



PRZEPISY
odnoszące się do naszego kalendarzyka - obliczone na 3—4 osoby.

SMAŻONE POMIDORY. Twarde pomidory parzy się wrzątkiem, obciąga ze skórki, kraje w plastry i smaży (bez panierowania) z obu stron na oliwie: pięć minut z każdej strony. Po usmażeniu wybija się na nie kilka jaj, soli i pieprzy, poczem wstawia się przykryte do piecyka aby się jaja ścięły.

RIZOTTO Z WŁOSKĄ KAPUSTĄ. Małą główkę włoskiej kapusty sparzyć, następnie ugotować w słonej wodzie. Filiżankę ryżu odblanżerowanego wsypać do garnuszka, w którym znajduje się siekana cebulka usmażona na łyżce masła. Ryż praży się parę minut, poczem zalewa dwoma filiżankami wody lub rosołu, zagotowuje i wstawia do piecyka lub do skrzynki samowarka (dogotowywacz) na 2 godziny, tj. aż będzie sypki. Litrowy rondelek wysmarować masłem, wyłożyć spód ugotowanemi listkami kapusty, ułożyć warstwę ryżu i warstwę siekanej szynki, kiełbasy lub duszonych grzybków, przykryć znów listkami kapusty i t. d. aż cały ryż wyjdzie. Każdą warstwę kropi się masłem. Ostatnią warstwę stanowi kapusta. Przykryty rondelek wstawia się do piecyka na ruszniku na 30—40 minut.

RZYMSKA SAŁATA. Do tej smacznej, szczególnie przez panów chętnie widzianej sałatki, przygotowujemy następujące dodatki: 15 dkg duszonej pieczeni cielęcej, 3 duże ziemniaki tzw. rogalki, 4 nie duże buraki ćwikłowe, główkę selera, filiżankę zielonego groszku, filiżankę fasolki, wszystko ugotowane (każde z osobna). Prócz tych dodatków potrzebne nam będzie jeszcze kwaśne nie duże jabłko i 4 łyżki majonezu, wymieszanego z łyżką marmolady pomidorowej. Jarzyny i mięso kraje się w kostkę, poczem miesza z resztą dodatków i majonezem. Octem lub sokiem cytrynowym oraz szczyptą soli i cukru dorabia się smak, wykłada sałatę na środek szklanej salaterki i ubiera zieloną pietruszką, plasterkami twardych jaj i pomidorów.

BUDYŃ Z BUŁKI I SZYNKI. 5 małych bułek pokrajać w kostkę, polać tłuszczem, wytopionym z 5 dkg tłuszczu od szynki, następnie zalać 1/4 litrem mleka, rozbitego z trzema jajami, dodać 15 dkg siekanej szynki lub wędzonego karczku, 2—3 łyżek sypkiej mąki, uformować dużą kulę, którą się wkłada do wysmarowanej masłem serwety i gotuje w słonej wodzie 30 minut. Wyłożony na półmisek budyń, kraje się w plastry, polewa rumianem masłem i posypuje parmezanem.

KARP NADZIEWANY. Oczyszczonego karpia nasala się z wierzchu i wewnątrz, nadziewa farszem sporządzonym z moczonej w mleku bułki, wyciśniętej i następnie utartej z łyżką masła, 1—2 jaj, troszkę skórki cytrynowej, białego pieprzu lub imbieru. Mleczko lub wątróbkę z ryby sieka się i dodaje do farszu. Nadzianą rybę zaszywa się, układa na brytwannie na maśle, grzbietem do góry, nakrawa z lekka skórę, polewa masłem i piecze w piecyku przy częstem polewaniu. O ile sok wysycha, podlewa się gorącą wodą. Parę minut przed wydaniem, posypuje się rybę trzema łyżkami przesianej tartej bułki, wymieszanej z pełną łyżką parmezanu, polewa gęstą kwaśną śmietaną lub masłem i zapieka w piecyku. Rybę podaje się wyłożoną w całości na długi półmisek, polewa wytworzonym sosem, obok włoski makaron lub tarte ziemniaki. Ostre sałaty nadają się również jako dodatek do tej ryby.

GALARETA Z GŁOWY WIEPRZOWEJ. ½ kg głowy wieprzowej gotuje się w słonej wodzie z marchewką i pietruszką, następnie obiera z kości i kraje w kawałki. Rosół wygotowuje się do ilości ½ litra i przecedza przez płótno. Odpowiednią formę wylewa się połową rosołu i zastudza, wykłada plastrami twardego jaja, zgrabnie wyciętą marchewką i gałązkami pietruszki oraz pokrajanem mięsem, zalewa resztą rosołu i zastudza. Przed wyłożeniem na półmisek okłada się formę na moment ściereczką umaczaną w gorącej wodzie, poczem galaretka gładko z formy wyjdzie.

LEGOMINA Z NALEŚNIKÓW. 1/4 l mleka z wodą, 1. całe jaje i 1. żółtko, szczyptę soli i cukru, oraz tyle mąki, aby się utworzyło rzadkie ciasto, roztrzepać dokładnie i wypiekać z obu stron cienkie naleśniki. 5 dkg tartej bułki wysmażyć w maśle, dodać 2 łyżki cukru, parę dkg grubo siekanych orzechów lub migdałów, rodzynków i siekanej skórki pomarańczowej. Naleśniki pokrajać w makaron i wymięszać z bułką i resztą dodatków oraz z pianą z 2—3 białek. Rondelek wysmarować masłem, wysypać bułeczką, nałożyć masę naleśnikową i wstawić do piecyka na 30 minut. Podaje się gorące, osobno rozgotowaną marmoladę konfiturową, krem waniljowy lub szodon.

Sc. Ko.



Ekshaustory w gospodarstwie domowem.

Trzepanie dywanów, pościeli itd. sprawia niemało kłopotu w naszych gospodarstwach domowych. W Szwecji, gdzie ta strona życia jest ciągle dostosowywana do najnowszych wymogów techniki i higjeny, rozwiązano problem bardzo praktycznie. Oto w każdej kamienicy znajduje się wspólna dla wszystkich lokatorów ubikacja, przeznaczona na trzepanie dywanów nad specjalnem urządzeniem z desek, pod któremi jest kanał, połączony z ekshaustorem, chłonącym pył w czasie trzepania. Prąd powietrza chwyta każdą drobinę kurzu i pozwala wykonywać tę pracę w sposób bardzo hygjeniczny, przyczem nie wychodzi się wcale z domu, ani nie wywozi dywanów poza miasto.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 48 — LISTOPAD — Dni 30
Niedziela **24** Emilji, Jana od K.	Zamiast zupy smażone pomidory z sadzonemi jajami. Ozorki cielęce w sosie vinegrait z ziemniaczkami. Indyczka pieczona z kompotem. Strudel z winogronami. Kolacja: Zimna polędwica z sałatą mieszaną majonezową.
Poniedziałek **25** Katarzyny	Zupa kalafiorowa z tartem ciastem. Rizotto z włoską kapustą. Zrazy bite zwijane z grzybami w śmietanie z makaronem. Jabłka w cieście smażone. Kolacja: Kanapki z pastą piklingową, herbata.
Wtorek **26** Konrada	Rosół z jarzynkami i płatkami. Hachée z misa z rosołu w rancie z kaszki krakowskiej. Befsztyki w garniturze z jarzyn. Budyń orzechowy. Kolacja: Smażona kiełbasa z kapustą.
Środa **27** Wirgiljusza, Wal.	Zupa z zielonego groszku /z puszki/. Faszerowane ziemniaki z sosem pomidorowym. Polędwica wieprzowa z tarhonią. Francuskie ciastka z konfiturą agrestową. Kolacja: Polędwica z sałatą ćwikłową na zimno.
Czwartek **28** Krescentego	Ziemniaczanka z kiełbaskami. Drożdżowe kapuśniaczki. Pierś i szyja gęsia faszerowane mięsem z ziemniaczkami lub ryżem. Kompot mieszany. Kolacja: Galaretka z głowy wieprzowej.
Piątek **29** Saturnina m.	Barszcz żytni z ziemniaczkami. Gołąbki z ryżem. Sandacz z jajem lub ryba morska w sosie sardelowym. Strudel tyrolski. Kolacja: Kasza tatarczana z kefirem.
Sobota **30** ndrzeja ap.	Rosół z lanem ciastem. Sztuka mięsa duszona z cebulką. Kalbsteki lub stek barani z marchewką i puree ziemniaczanem. Omlet biszkoptowy z konfiturami. Kolacja: Parówki z chrzanem.

HOCKI-KLOCKI

Dokończenie ze strony 6-ej).

Aby podróż przez stratosferę stała się możliwą, trzeba skonstruować samolot, którego budowa różnić się musi biegunowo od wyglądu i konstrukcji dzisiejszych samolotów. A więc przedewszystkiem motor zaopatrzony być musi w kompresory, pozwalające silnikowi na zachowanie jego mocy na wysokości 8.000—10.000 metrów w rozrzedzonem powietrzu. Konieczne są kabiny szczelne i izolowane, a prócz tego zaopatrzone w aparaty tlenowe i grzejniki. Także kwestja ciężaru motoru oraz zużycie paliwa, które powinno spaść do 200 gramów na konia i godzinę, odgrywa tutaj nader ważną rolę. Po dokonaniu tych i wielu innych bardzo skomplikowanych trudności — samoloty o wystarczającej i opłacającej się pojemności handlowej oraz dużym zasięgu będą mogły wznieść się do podniebnego lotu z szybkością być może wprost fantastyczną.

Ostatni rajd Londyn—Melburn, a wszczególności rekord lotnika Agello, który osiągnął na swym wodnopłatowcu szybkość 709 km/g — każą przypuszczać, że loty stratosferyczne, które odbywać się będą w warunkach niezwykle sprzyjających, bo przy minimalnym oporze powietrza — dążą do oszałamiających rezultatów.

Nietylko jednak samolot spieszy się. Kolej żelazna, statki oceaniczne, samochód, a nawet koń i człowiek na torze i bieżni połykają kilometry w coraz bardziej oszalałem tempie.

Samochód traktowany dziś jako przedmiot pracy i artykuł pierwszej potrzeby, dysponuje coraz większemi możliwościami. Szybkość auta podnoszona jest ustawicznie nietylko przez konstrukcję samej maszyny, ale i przez budowę odpowiednich betonowych autostrad. Rekordy, o których słyszymy, przestają mieć w dobie dzisiejszej charakter sportowo-indywidualny. Rekord w dzisiejszem tego słowa znaczeniu — to próba sprawności maszyny i materjału oraz zdolności inżyniera, a przedewszystkiem reklama. Reklama, która powinna sprzedać samochód lub zachęcić do podróży tym czy innym środkiem komunikacyjnym — śpieszącego się człowieka XX wieku.

(jot).

(Dokończenie ze strony 17-ej).

nego i w programach dnia nieokreślonego genjalnego reżysera.

Władca ów posługuje się tysiącami teatralnych akcesoryj. On to zespolił w tym punkcie ziemskiego globu wszystkie cuda architektury, malarstwa, rzeźby i muzyki, by stworzyć fantastyczny spektakl.

Zdaje się, że na rozkaz owego tajemnego reżysera, księżyc zatrzyma się w najodpowiedniejszym dla oświetlenia obrazu punkcie, że na jego rozkaz płynie z Lido i z „giardini publici" orzeźwiający wietrzyk, przynoszący zapach róż i magnolji. Że wreszcie stojący na wieży ratuszowej bronzowy dzwonnik, posłuszny woli reżysera, ożywia się i uderza w dzwon w pewnych momentach tego fantastycznego przedstawienia.

Podziwiamy genjalnie dobrane dźwiękowe tło romantycznego zjawiska; owe melodje, płynące jasną strugą „bell'canta", serenady grane przez dziesiątki ludowych kapel, skrzętnie uwijających się na majestatycznych gondolach, w pobliżu piazzetty.

Z poetycznego marzenia budzi nas niestety, szwargot i chałas różnojęzycznego tłumu turystów, przybyłego z wszystkich części świata poto, aby tylko zobaczyć to, co należy w duszy swej przeżyć!...

J. G. M.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

1. UKRADZIONY OLEJEK.

Trzech chłopaków, pracujących w fabryce perfum ukradło flakon, zawierający 24 uncje cennego olejku. Po drodze w wielkim pośpiechu kupili trzy flaszeczki i czempręđzej postarali się znaleźć bezpieczne schronienie. Tam przystąpili do podziału kosztownego płynu, jednak okazało się, że flaszeczki były na 5, 11 i 13 uncyj. W jaki sposób, nie używając innych naczyń ani miarek mogą podzielić olejek na trzy równe części?

2. GRA MIESZANA.

Cztery małżeństwa grywały w double mixed, to znaczy, że zawsze grała kobieta z mężczyzną przeciw kobiecie z mężczyzną, lecz umówili się grać w ten sposób, żeby żadna osoba nie grała z lub przeciw żadnej osobie więcej niż jeden raz. Jak więc mają rozdzielić gry, żeby przez sześć dni codzień odbywała się jedna gra?

Rozwiązania powyższych zadań, jakoteż z Nru poprzedniego zamieścimy w numerze następnym.

HUMOR ZAGRANICZNY.



TRENER DO SKOCZKA: Panie na miłość Boską! W drugą stronę! *„Rire".*

(Dokończenie ze strony 21-ej).

weźmie jako geret. Cóż czeka ją bowiem u Abisyńczyka? Czy wśród ludu czy u czarnej arystokracji uważana, jako niewiasta, za coś niższego, ma ona dużo roboty i od czasu do czasu porcję batów. U białego pięć talarów miesięcznie (majątek dla czarnego) codziennie mięso i może cały dzień prząść nici z bawełny na suknię. Może tam również zaspokoić swoje upodobanie do strojenia. Do szczęścia wystarcza jej znoszona koszula męska. Na gabaję (targ) Hindus za jedną peżę Hindus ścieśni jej rękawy, aby ściśle przylegały do ramion i przegubu dłoni i paraduje dumna z otrzymanego prezentu.

— — — — — — — — —

Jeden ze znajomych Europejczyków zachorował. Odwiedziłem go więc i wśród rozmowy poprosił mnie, abym mu pomógł wstać, chce bowiem zaczerpnąć w ogrodzie świeżego powietrza. Wychodzimy na ganek, a tu z za węgła wyskakuje jego geret i zaczyna go straszyć wymachiwaniem rąk.

— Czy ona zwarjowała? — pytam zdziwiony.

— Nie, ale martwi się, że tak długo choruję i chce mi na swój sposób pomóc. Abisyńczycy wierzą, że choroba się da wystraszyć. Więc gdzie się tylko ruszę, wyskakuje z kąta, z za rogu, z za drzwi i straszy mnie, gdyż jest przekonana, że choroba ucieknie. Skrzyczałem ją z początku, starałem się przekonać, że to nie pomaga, bo mnie straszy, a nie chorobę. Twierdziła, że jak jej się to chociaż raz uda, to na drugi dzień będę zdrów. Dałem spokój...

— — — — — — — — —

Wybraliśmy się kiedyś do Ambo. Długa, uciążliwa droga ciężarowem autem, które miejscami trzeba było poprostu na plecach przenosić przez wyschnięte łożyska rzek i wyrwy w „gościńcu". Wszystkie niewygody podróży sowicie się jednak upłaciły. Liczne i miłe towarzystwo białych, przepiekne widoki, kąpiele w gorących źródłach, wytryskających w pośrodku lodowato zimnej wody, „camping" pod namiotami, polowanie...

Siedzimy nad rzeką, ja i Wiedeńczyk Tomas.

Ogarnęło nas miłe rozleniwienie.

Nagle daje się słyszeć szelest kroków i na ścieżce pojawia się cudna gallijka, idąca w towarzystwie czarnego młodzieńca. W czasie czerpania wody przez czarną parę, Tomas rzucił w ich kierunku kilka uwag na temat urody czarnej piękności, a wkońcu rzekł:

— Przyjdź dzisiaj do mnie

Wieczorem przed namiotem Tomasa zaczerniła się ciżba ludzi. Tomas, zlekka zaniepokojony, przygotował na wszelki wypadek mausera.

Okazało się, że odwiedziny mają całkiem pokojowy, powiedzmy handlowy charakter. Zaczęły się targi:

— Chetta — chcesz naszą córkę, to musisz z nami mówić. Oddamy ci ją, choć to nasz największy skarb, nasze oko w głowie. Patrz, jaka ona piękna, gazela, to wobec niej krowa garbata. Patrz — jakie silne, białe zęby, jaka giętka szyja, pięknie zbudowana, nogi jakie strzeliste. Czyś widział kiedykolwik tyle piękna w jednem ciele?

Tym hymnom pochwalnym wtórowała cała rodzina nieopisanym wrzaskiem, a przedmiot tych pochwał słał w kierunku Tomasa błyszczącemi, roześmianemi oczami najrozkoszniejsze obietnice.

Ojciec czarnuli popatrzył na Tomasa, jakie na nim jego słowa zrobiły wrażenie. Chciał widocznie wyczytać z jego miny, czy ma zażądać dwa tysiące, czy tysiąc talarów. Widząc obojętną minę:

— Patrzę w twoją twarz i widzę, że dziecko moje cię dobrze oceniło. Jesteś wielkim, szlachetnym i dobrym ferendżim. Dlatego więc, że córka moja cię polubiła i że wiem, iż jej u ciebie będzie dobrze, dasz mi za nią tylko pięćset talarów.

Odpowiedziało mu milczenie.

— Ghetto wiesz, że jeśli mi teraz nie odpowiesz, jeśli dopuścisz do tego, że ja się odwrócę i zabiorę moją rodzinę wraz z córką do domu, nie zobaczysz jej więcej, chociażbyś mi dawał tysiąc talarów! — Słyszysz? — Tysiąc talarów!..

Tomas wycedził powoli przez zęby:

— Dziesięć!

Stary wyrywał sobie garściami włosy z brody, rzucił się na ziemię i tłukł o nią głową i gdyby mu nie było szkoda, podarłby „szamę" na drobne kawałki. Bracia łamali w palcach długie kijki, służące im do podpierania, matka i cała niewieścia część zgromadzenia piszczała i narzekała.

Wkońcu poszli....

Tej nocy na całym campingu nikt nie spał. Z namiotu Tomasa dochodziły głosy ożywionej dyskusji. Stanęło wkońcu na dwudziestu talarach.

Że Tomas nie spał, mniejsza z tem, ma teraz najpiękniejszą „geret" w całej Addis Abebie; ale dlaczego nam nie dali spać?...

Emil Faust.

To warto poznać..

NA SCENIE.

W dziesiątą rocznicę śmierci Stefana Żeromskiego oglądamy na kilku scenach dzieła dramatyczne wielkiego pisarza. W Warszawie po Teatrze **Kameralnym**, który wystawił **„Ponad śnieg"**, Teatr **Narodowy** gra komedję **„Uciekła mi przepióreczka"**, a teatr **Ateneum** dramat **„Turoń"**. W związku z temi przedstawieniami pisze o Żeromskim Wierzyński: „Dziesięć lat żyjemy bez niego, który kiedyś był dla nas szkołą uczuciowości, twórcą mitów narodowych i budzicielem sumienia. Zajmował ogromny obszar naszego życia duchowego, narzucił nam swoje umiłowania i nienawiści, jego idealizm stał się hasłem pokolenia".

Przedstawienie „Przepióreczki" stało się dużej miary świętem teatralnem i nieporównanym popisem Juljusza Osterwy, który w sposób niedościgły gra rolę Przełęckiego, zresztą specjalnie dla niego przez Żeromskiego pisaną. Świetnie Dorotę gra Modzelewska.

„Turoń" znowu związany jest ściśle z nazwiskiem Jaracza, który kreował tę rolę na premjerze przed dwunastu laty w Reducie a obecnie gra ją w Ateneum. Pisze o tej roli Boy-Żeleński: „To rola najwyższej miary, sięgająca jakiegoś demonizmu. Z wielką oszczędnością środków, samą wewnętrzną potęgą, wydobywa Jaracz wszystkie efekty, urągania, triumfu, pychy, władczego upojenia; urzeka nas swoim głosem, przejmuje zimnym dreszczem. Tego Szeli nie zapomni nikt z tych, którzy go widzieli, po pierwszym akcie twarze widzów wyglądają jakby ich zbudzono ze złego snu". Wybornie wyreżyserowała przedstawienie Perzanowska, a dekorację piękną dał Daszewski.

W Bydgoszczy wystawił teatr **„Sułkowskiego"**. **(swb)**

NOWE KSIĄŻKI.

W pięknej szacie zewnętrznej wydała **„Książnica-Atlas"** niezwykle interesującą książkę znanego pisarza, **M. B. Lepeckiego „W blaskach wojny"**. Książka ta ukazuje się już w drugiem wydaniu, ozdobionem piękną fotografją zmarłego Wodza Narodu, zadedykowaną autorowi tej książki. Gen. insp. sił zbr. gen. **Edward Rydz-Śmigły** napisał słowo wstępne, wprowadzające czytelnika w zamierzenia autora przy pisaniu tej emocjonującej książki. Streszczają się one zresztą w takiem zdaniu Lepeckiego: „Są to wspomnienia przeciętnego, szarego żołnierza piechoty, dla którego wojna nie była polem popisów lub drogą do zaszczytów, lecz twardą, pełną znojów i trudów służbą". I istotnie, książka ta rozwija tok opowiadania poprostu, jak szły wypadki, które autor przeżywał w gorących latach 1919 i 1920 roku. Wilno, wyprawa na Kijów, rok klęski czerwonej armji — opisane w sposób wysoce emocjonujący, a wierny i szczery, bez frazesów i bez szumnych zdań, a także bez silenia się na danie dzieła historycznego. Stwarza to lekturę, od której trudno jest się oderwać.

W tem samem wydawnictwie równie starannie wydana ukazała się książka **Zofji Szymanowskiej** pod tytułem **„Opowieść o naszym domu"**. Autorka tej książki jest siostrą **Karola Szymanowskiego**, ostatniego laureata nagrody muzycznej m. Warszawy. Dedykowana znakomitemu muzykowi książka ta, która nie jest powieścią, lecz istotnie „opowieścią", potoczyście napisaną z wkładkami miłego liryzmu, opowiada nam o latach młodości spędzonych w Tymoszówce. Napisana na nutę wspomnień tak modną obecnie w literaturze naszej, wyzbyła się jednak książka ta frazesu i ckliwości i jest o tyle cenniejsza i więcej interesująca, że podaje ciekawe i jedynie autentyczne zdarzenia i charakterystykę z młodości znakomitego kompozytora. Czyta się tę rzecz jak najbardziej interesującą powieść.

W. Z.

Ciekawe wystawy.

WARSZAWA. Tow. Zachęty Sztuk Pięknych. Jubileuszowa wystawa dzieł Antoniego Madeyskiego oraz kol. prac Anny Chamiec, Antoniego Grabarza, Edmunda Kaniewskiego, J. Marylskiego, S. Popowskiego, F. Sługockiego, M. Trzebińskiego, R. Zerycha. — I. P. S. wystawa krak. grupy malarskiej „Zwornika" i grupy „Pryzmatu". — W Salonie Sztuki przy ul. Mazowieckiej marynisty Marjana Mokwy.

KRAKÓW. W Pałacu Sztuki — Wystawa prac o Marszałku Piłsudskim Stanisława O. Chrostowskiego i Zdzisława Czermańskiego. Zbiorowe wystawy Jadwigi Gałęzowskiej, Mieszka Jabłońskiego i wystawa bież.

POZNAŃ. W Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych zbiorowa wystawa prac olejnych i kilimów Romana Orszulskiego.

LWÓW. Bieżąca wystawa najcelniejszych artystów lwowskich w Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych w Muzeum Przemysłu artystycznego.

W wszystkich Oddziałach I. K. C. wystawa grafiki w związku z rozpisaną subskrypcją.

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 24 XI.

9.00: Audycja poranna.
10.00: Transmisja nabożeństwa z Lodzi.
12.15: „Poranek" z Wilna.
14.00: „Legendy opowiadane córce" — Adama Mickiewicza.
16.15: Recital fortepianowy.
17.40: Migawki regjonalne.
18.00: „Pół godzinny z Wiednia" piosenki.
18.30: Słuchowisko „Dwa okna na piątem piętrze".
20.00: Koncert z udziałem Jerzego Czaplickiego.
21.00: Na wesołej lwowskiej fali.
22.00: „Spacer po Europie".
23.05: Muzyka taneczna.

Poniedziałek, 25 XI.

15.30: Muzyka wokalna.
16.15: Koncert kwintetu salonowego Adamskiej-Grossmanowej.
16.45: „Ideal Prim" — skecz.
17.50: „Świat zwierząt w Abisynji" — pogadanka.
18.00: Trio op. 97 na dwa oboje i rożek angielski — Beethovena.
18.30: „Listy od dzieci".
20.00: Koncert kapeli ludowej.
21.00: Wieczór literacki ku czci Adama Mickiewicza.
21.45: Koncert symfoniczny z udziałem Stani Zawadzkiej.
22.45: Muzyka taneczna.

Wtorek, 26 XI.

15.30: Koncert.
17.00: „Luneta — olbrzym" — odczyt.
17.15: Muzyka operetkowa.
18.00: Pieśni do słów Adama Mickiewicza.
18.30: „Powązki" szkic literacki.
18.45: Muzyka salonowa.
19.35: Pogadanka aktualna.
22.30: Odczyt dla lekarzy.
22.45: „Zdobycze nowej Konstytucji polskiej".
23.05: Muzyka taneczna.

Środa, 27 XI.

12.15: „Czy możemy żyć bez mięsa?"
12.30: Orkiestra Tadeusza Seredyńskiego.
15.30: Melodje z filmów dźwiękowych.
transmisja z Zakładu dla Głucho-
16.00: „Ci, którzy nie słyszą" — niemych.
16.20: Recital śpiewaczy.
17.00: „Czy słuszne jest hasło wszystko dla dziecka" — odczyt.
17.20: Utwory J. S. Bacha.
17.50: „Świat się śmieje".
18.45: Muzyka salonowa.
20.00: Towarzystwo śpiewacze „I owszem".
21.00: Twórczość Fryderyka Chopina — XIII audycja z cyklu.
21.35: „Upiór w literaturze" — szkic literacki.
21.50: „Jacy bywają klienci" — pogadanka.
22.00: Muzyka taneczna.

Czwartek, 28 XI.

13.00: Marsza.
15.30: Melodje rewjowe i filmowe.
16.00: Opowiadanie Starego Doktora.
16.15: Trio salonowe z Poznania.
17.00: Odczyt — „Jak wieś żywi miasto" — „Ryby".
18.00: Koncert zespołu Adama Furmańskiego.
18.45: Muzyka lekka.
20.00: „Wieczór bajek" — koncert z udziałem B. Hertza recyt.
21.00: Premjera słuchowiska — „Czerwone naszywki".
22.00: Koncert symfoniczny z udziałem Tadeusza Lifana.
23.05: Muzyka taneczna.

Piątek, 29 XI.

12.40: Muzyka salonowa.
16.15: Orkiestra Tadeusza Seredyńskiego.
17.00: „Zbliżamy się do nowej epoki lodowej" — reportaż z Inst. Botan. U. J.
17.20: Koncert solistów.
18.00: „Melodje dla zakochanych" (koncert).
18.45: Pieśni rycerstwa polskiego.
20.10: „Wigilja Św. Andrzeja" (aud. muz.)
21.15: „Schumann-Schubert" — koncert.
22.00: Koncert kameralny.
22.30: Muzyka taneczna z kawiarni „Café-Club".

Sobota, 30 XI.

12.15: Orkiestra Alberta Katza z Wilna.
13.00: Melodje operetkowe.
14.30: Koncert tria salonowego Haliny Balińskiej.
15.00: Nowela „Jeszcze raz" (odczytanie).
15.30: „Walce i marsze".
17.00: „Pod niemieckim dachem i pod mazurską strzechą" — reportaż.
18.00: Słuchowisko dla dzieci starszych.
18.45: Fragmenty z oper.
19.00: Wesołe opowiastki góralskie.
20.00: Lwowskie potpourri.
21.30: „Wesoła Syrena" — p. t. „Historja jednej piosenki".
22.00: Koncert z udziałem Józefa Chasyda.
23.05: Muzyka taneczna.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A.